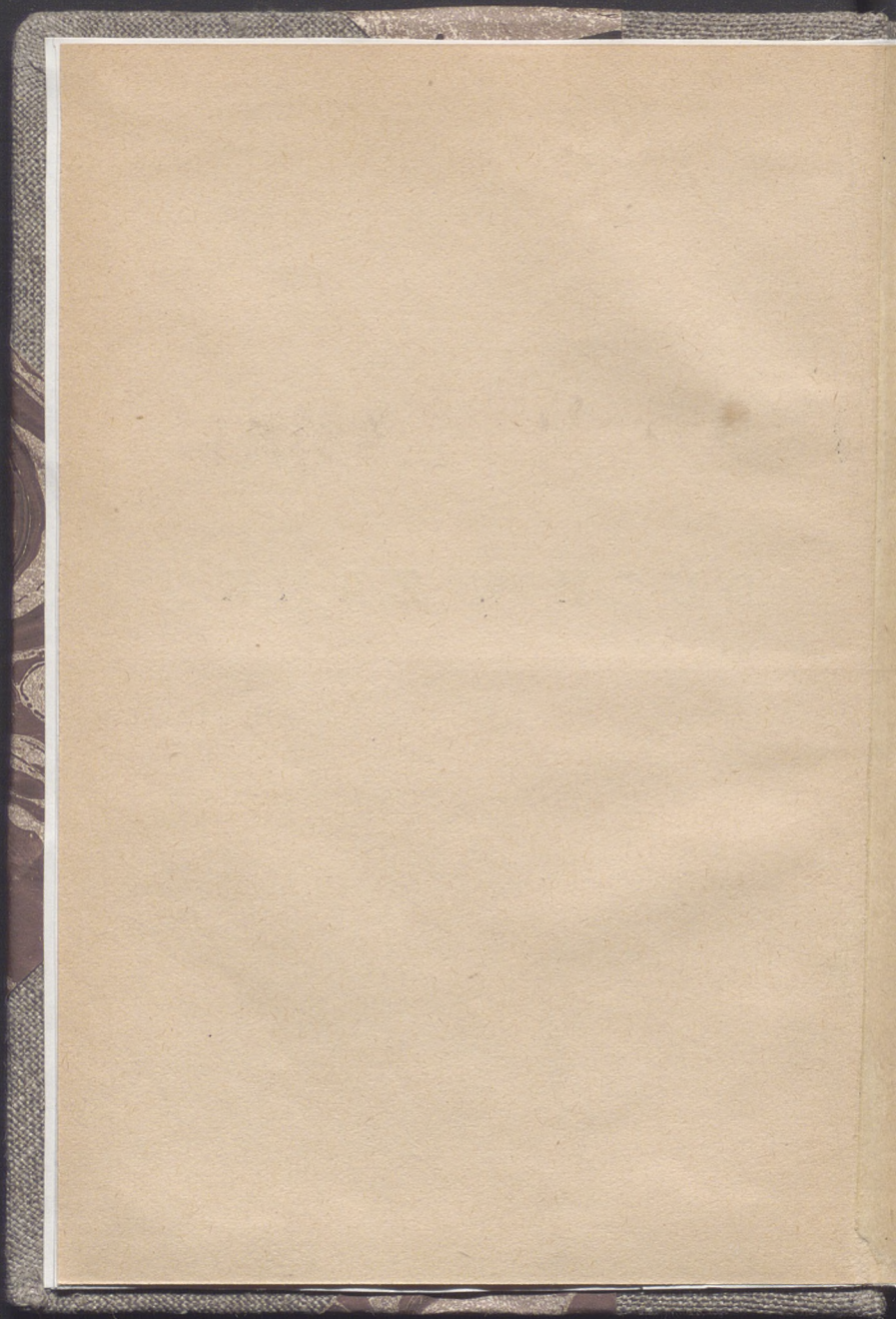


541,488

DUCH W ZAMKU



OSKAR WILDE

DUCH W ZAMKU

WARSZAWA
BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI
1929.



II 541.489

Druk: Sz. Sikora Warszawa Nowolipki 6:

1929.E.O. 440

I.

Kiedy rozeszła się wieść, że minister amerykański, p. Hiram B. Otis kupuje zamek Kenterwilski ostrzegano go powszechnie, aby nie popełniał szaleństwa, nie ulegało bowiem wątpliwości, że w zamku straszy. Sam zresztą lord Kenterwil, człowiek o niezmiernie subtelnem poczuciu honoru, uważał za swój obowiązek wspomnieć o tem fakcie panu Otisowi podczas ostatecznych układów o kupno.

— Nie chcieliśmy mieszkać w zamku od czasu, kiedy cioteczna babka moja, wdowa po księciu Boltonie, dostała ataku z przerażenia, ujrawszy w lustrze, w chwili kiedy przebierała się do obiadu, dwie ręce kościotrupa na swoich ramionach. Po ataku tym nigdy już w zupełności nie przyszła do siebie. Czuję się też w obowiązku powiedzieć panu, że kilku żyjących członków naszej rodziny, a także rektor naszej parafji, wielebny Augustus Dampier, członek Kolegium Królewskiego w Cambridge, na własne oczy oglądali Ducha. Po nieszczęśliwym owym wypadku z księżną nie chciał pozostać u nas za-

den z młodszych naszych służących, a lady Kenterwil nie sypiała po nocach z powodu tajemniczych szmerów dochodzących z korytarza i biblioteki.

— Milordzie — odparł minister — nabywam umeblowanie i ducha w cenie kúpna. Przybywam z nowoczesnego kraju, gdzie mamy wszystko, co można nabyć za pieniądze, a wobec zastępów naszych dzielnych chłopców, wywracających do góry nogami porządek Starego Świata i zabierających wam najlepsze wasze aktorki i primadonny, pewien jestem, że gdyby w Europie istniało rzeczywiście coś takiego jak duchy, mielibyśmy je oddawna w jednym z naszych muzeum publicznych, albo też oprowadzilibyśmy je na pokaz po ulicach.

— Obawiam się, że duchy istnieją — rzekł lord Kenterwil z uśmiechem — mimo, iż mogły one oprzeć się ponętnym propozycjom waszych przedsiębiorczych impresarjów. Od trzystu lat już, ściślej biorąc od 1548-go roku, znanym jest fakt, że duch ukazuje się stale przed śmiercią każdego z członków naszego rodu.

— To zupełnie jak doktor domowy. Zapewniam pana, milordzie, że niema żadnych duchów; nie przypuszczam, aby prawa natury miały być przeistaczane dla arystokracji angielskiej.

— Widzę, że jesteście w Ameryce bardzo trzeźwi — odparł lord Kenterwil, który niezupełnie zrozumiał ostatnie zdanie p. Otisa; — jeśli zatem niema pan nic przeciwko duchowi w domu, wszystko jest w porządku. Proszę tylko pamiętać, że ostrzegałem pana.

W parę tygodni po tej rozmowie kupno zostało zawarte i, po skończonym sezonie w Londynie, minister wraz z rodziną przenieśli się do Kenterwilu. Pani Otisowa, która jako panna Lukrecja R. Toppan z 53-ej ulicy Zachodniej, słynęła jako piękność nowojorska, była obecnie przystojną damą w średnim, wieku, o pięknych oczach i wspaniałym profilu. Amerykańskie panie miewają zwyczaj, po wyjeździe z rodzinnego kraju, przybierania poży chronicznej słabowitości, w przypuszczeniu zapewne, że jest to cechą europejskiego wydelikacenia. Pani Otisowa nie popełniła wszakże tego błędu. Posiadała silny, zdrowy organizm i niespożyty zapas energii żywotnej. Pod wieloma względami była zupełną Angielką i służyć mogła jako typowy przykład faktu, że Amerykanie i Anglicy mają wszelkie cechy wspólne, z wyjątkiem języka. Najstarszy syn jej, któremu rodzice, w przystępie patriotyzmu, nadali imię Waszyngtona, czego nigdy nie przestał żałować, był jasnowłosym, dość przystojnym młodym człowiekiem, który uważał się za powołanego do amerykańskiej służby dyplomatycznej, ponieważ przez trzy sezony zrzędu prowadził kadryla niemieckiego w kasynie Newportu, i nawet w Londynie znany był jako doskonały tancerz. Jedyłą jego słabością były gardenje i herbarze. Poza tem był nadzwyczaj rozsądny. Panna Wirginja E. Otisówna była piętnastoletnią panienką, wysmukłą i zręczną jak młody faun. Wielkie niebieskie jej oczy patrzyły w świat śmiało i swobodnie; była skończoną amazonką i pewnego

razu prześcignęła starego lorda Bilton, bijąc go o półtorej długości konia w dwukrotnym biegu dookoła parku, co wywołało taki zachwyt ze strony młodziutkiego księcia Cheshire, że z miejsca oświadczył się o jej rękę, ale tej samej jeszcze nocy odesłany został w potokach łez do kolegium w Eton. Po Wirginji następowały bliźnięta, nazywane zazwyczaj „Gwiazdami i Pasami“,^{*)} może dlatego, że różgi często darły z nich pasy. Byli to rozkoszni chłopcy i, z wyjątkiem szanownego ministra, jedyni w rodzinie szczerzy republikanie.

Ponieważ Kenterwil odległe jest od najbliższej stacji kolejowej, Ascot, o siedem mil angielskich, pan Otis zatelegrafował po powóz, do którego rodzina cała wsiadła w jak najlepszym humorze. Był piękny wieczór czerwcowy; w powietrzu unosił się balsamiczny zapach lasów iglastych; od czasu do czasu słychać było czułe gruchanie gołębi, a tu i owdzie, w głębi paprociowego poszycia gajów, przemykały rdzawe skrzydła bażantów. Małe wiewiórki wysuwały łepki z pomiędzy gałęzi brzoź; króliki przedzierały się przez zarośla z zadartymi do góry białymi ogonkami. W chwili wszakże kiedy wjeżdżali w aleję parkową, niebo zaciągnęło się chmurami, dziwna cisza zaległa powietrze, wielkie stada wron przeleciały bez szelestu nad ich głowami i, za-

^{*)} Może to być również aluzją do sztandaru Stanów Zjednoczonych. (Przyp. tł.).

nim dojechali do zamku, spadły pierwsze grube krople deszczu.

Na stopniach zamku powitała ich stara kobieta, starannie ubrana w czarną, jedwabną suknię, biały fartuch i biały czepek. Była to pani Umney, dawna gospodyni, którą pani Otisowa, na gorące prośby lady Kenterwil, zgodziła się zatrzymać na do-tychczasowym stanowisku. Przywitała ona każdego z członków rodziny niskim ukłonem i staroświecką formułką: „Witam w Kenterwilu“. Idąc za nią, minęli piękny przedsiónek w stylu Tudorów i weszli do biblioteki niskiego, długiego pokoju, o ścianach, wyłożonych buazerją dębową oraz o jednym wielkiem kolorowym oknie w głębi. Oczekiwał na nich tutaj stół zastawiony przyborami do herbaty, zdjąwszy więc okrycia, zasiedli i zaczęli rozglądać się dokoła, podczas gdy pani Umney krzątała się przy nalewaniu filiżanek.

Nagle wzrok pani Otisowej padł na ciemno-czerwona płamę na podłodze, tuż przy kominku. Nie mając pojęcia, skąd się ona tutaj wziąć mogła, zwróciła się z zapytaniem do pani Umney:

— Musiało się tutaj coś rozlać, prawda?

— Tak, proszę pani — odparła staruszka przyciszonem głosem — przelana tutaj była krew.

— Jakież to okropne! — zawołała pani Otisowa — krew w pokoju mieszkalnym! Trzeba zmyć ją natychmiast.

Stara kobieta uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym przyciszonem, tajemniczym głosem:

— To krew lady Eleonory Kenterwil, którą na tem właśnie miejscu zabił własny jej mąż, sir Simon Kenterwil, w 1575-ym roku. Przeżył on ją o dzie-
sięć lat, i nagle znikł wśród bardzo tajemniczych
okoliczności. Ciało jego nigdy nie zostało odnale-
zione, ale pokutujący duch jego straszy wciąż je-
szcze w zamku. Wielu turystów i rozmaitych innych
ludzi podziwiała tę plamę, która nie daje się zmyć.

— Nonsens! — zawołał Waszyngton Otis. —
„Niezrównany wywabiacz Pinkertona“ i „Patentowa-
ny czyściciel plam“ usuną ją w jednej chwili—i, za-
nim przerażona gospodyni zdołała temu zapobiec,
przyklął i szybko zaczął wycierać podłogę małym
kawałkiem jakiejś masy, mającej wygląd czarnego
kosmetyku.

— Wiedziałem, że Pinkerton poradzi na to! —
zawołał spoglądając z tryumfem na podziwiająca go
rodzinę. Nie zdążył jednak dokończyć tych słów,
kiedy straszliwy błysk gromu rozświetlił ponury po-
kój i równocześnie przeraźliwy huk porwał wszyst-
kich na nogi. Pani Umney padła zemdlna na po-
sadzke.

— Cóż za potworny klimat! — rzekł amerykań-
ski minister z flegmą, zapalając długie cygaro. — Wi-
docznie stary ten kraj jest przeludniony, że nie
starczy porządnej pogody dla wszystkich. Zawsze
byłem tego zdania, że emigracja jest jedynem zba-
wieniem dla Anglii.

— Co się robi z mdlejącą kobietą, mój drogi?—
zwróciła się pani Otisowa do męża.

— Wytrać jej z pensji, jak za stłuczone talerze — odparł minister; — napewno odechce jej się mdleć na drugi raz. — Istotnie po kilku minutach pani Umney przyszła do siebie, była jednak bardzo zgnębiona i stanowczo ostrzegała panią Otisową przed zagrażającym domowi jej niebezpieczeństwem.

— Na niejedno już patrzyły moje stare oczy, na co dębem stają włosy każdego uczciwego chrześcijanina, i niejedną też noc spędziłam bezsennie z powodu strasznych rzeczy, jakie się tutaj działy — rzekła staruszka. Pan Otis wszakże i żona jego zapewnili pocziwinę, że się nie boją duchów. Wreszcie, po przywołaniu błogosławieństwa Opatrzności na głowy nowych swoich państwa i ułożeniu się co do podwyższenia pensji, podreptała stara gospodyni do swego pokoju.

II.

Burra szalała przez całą noc, pozatem jednak nie zaszło nic szczególnego. Mimo to nazajutrz, kiedy wszyscy zeszli na śniadanie, krwawa plama czerwieniła się znów na podłodze.

— Stanowczo nie może to być wina „Niezrównanego Wywabiacza“ — zdecydował Waszyngton. — Wypróbowałem już jego działanie na wszystkim. Musi to być robota ducha.

Wytał plamę po raz drugi, ale następnego ranka krwawiła się znów na tem samym miejscu, mimo to, że pan Otis własnoręcznie zamknął drzwi od biblioteki na klucz, który zabrał do swojej sypialni. Cała rodzina zainteresowana była sprawą plamy; pan Otis zaczął podejrzewać, że był zbyt dogmatycznym w zaprzeczaniu istnienia duchów, pani Otisowa wyraziła zamiar zapisania się do Towarzystwa Psychologicznego, a Waszyngton wystosował obszerny list do panów Meyers i Podmore w sprawie niewypieralności krwawych plam, zależnych od zbrodni.

Nocy tej usunięte zostały raz na zawsze wszelkie wątpliwości co do faktyczności istnienia przejawów nadprzyrodzonych.

Dzień był ciepły i słoneczny. O chłodzie wieczornym cała rodzina pp. Otisów wyjechała na przejażdżkę i dopiero o dziewiątej wieczorem powrócili do domu, aby spożyć lekkostrawną wieszę. W rozmowie nie poruszano wcale sprawy duchów, tak że nie było nawet zasadniczych warunków, pobudzających rozmaite przejawy psychiczne. Tematy, poruszane podczas kolacji, obracały się — jak dowiedziałem się w następstwie od p. Otisa — jedynie dokoła spraw, stanowiących zwykły przedmiot rozmów kulturalnych Amerykanów z lepszych sfer, więc: olbrzymiej wyższości Fanny Davenport, jako artystki, nad Sarą Bernard; trudności znalezienia zielonych ziarn, gryczanych ciastek i kukurydzojwej kaszy w najlepszych nawet domach angielskich; znaczenia Bostonu dla rozwoju ducha świata; korzyści czekowego systemu bagażowego przy podróżowaniu kolejami żelaznymi i pieściwości akcentu nowojorskiego w porównaniu z przeciąganiem londyńskim. Ani jednym nawet słowem nie wspomniano o żadnych zjawiskach nadprzyrodzonych, ani też o osobie sir Simona Kenterwila. O jedenastej cała rodzina udała się na spoczynek, a w pół godziny później pogaszono wszystkie światła. Po pewnym czasie zbudził pana Otisa dziwny jakiś szmer w korytarzu. Zdawało mu się, że słyszy jakgdyby brzęk metalu, zbliżający się z każdą chwilą. Minister wstał,



Zapalił zapałkę i spojrzał na zegarek. Była punktualnie pierwsza. Czuł się zupełnie spokojny, a zbadawszy swój puls, przekonał się, że nie był wcale przyspieszony. Dziwny brzęk nie ustawał. Teraz słyszał już wyraźnie odgłos kroków. Włożył pantofle, wyjął wąski, podłużny flakon z neseseru i otworzył drzwi. Wprost naprzeciw siebie, w mdłym blasku księżyca, zobaczył straszliwą postać starca. Oczy jego płonęły jak rozżarzone węgle; długie, siwe włosy spadały mu spletanymi kosmykami na ramiona; odzież jego, starodawnego kroju, była brudna i cała w strzępach; ciężkie łańcuchy i zarzewiałe okowy zwisały z kostek jego nóg i napiętków rąk.

— Drogą panie — rzekł pan Otis — stanowczo zmuszony jestem prosić pana o naoliwienie pańskich łańcuchów. Przyniosłem panu w tym celu flaszeczkę maści Wschodzącego Słońca, firmy Tammany. Ma ona podobno wybornie skutkować po jednorazowym użyciu; zaświadczenia o tem, pióra najwybitniejszych naszych teologów, znajdzie pan na opakowaniu. Zostawię ją tu na stole i chętnie dostarczę panu większej ilości w razie życzenia. Mówiąc to, położył Minister Stanów Zjednoczonych flaszeczkę na marmurowym stole i, zamknąwszy za sobą drzwi, powrócił do sypialni.

Przez chwilę stał duch z Kenterwilu osłupiały, w zrozumiałem oburzeniu, poczem, cisnąwszy z całej siły flaszeczkę na woskowaną posadzkę, puścił się pędem przez korytarz, wydając głuche jęki

i świecąc widmowo-zielonem światłem. W chwili wszakże, kiedy dobiegł do górnego podestu klatki schodowej, otworzyły się szeroko jedne z drzwi, ukazały się w nich dwie drobne postacie w białych szatach, i wielka poduszka przemknęła tuż nad jego głową. Nie było już wyraźnie czasu do stracenia, przywołując też pospiesznie na pomoc czwarty wymiar, jako sposób ucieczki, znikł przez buazerję ścienną, poczem cisza ogólna zaległa dom.

Przedostawszy się do małej, ukrytej izdebki w lewem skrzydle pałacu, oparł się o promień księżycy aby nabrać tchu, i zaczął zastanawiać się nad swoim położeniem. Nigdy, w ciągu całej świetnej i nieprzerwanej trzywiekowej swojej kariery nie doznał on tak brutalnej zniewagi.

Przypomniał sobie księżną wdowę, którą przestraszył śmiertelnie, przyprawiając o atak, w chwili, kiedy stała przed lustrem w powodzi koronek i brylantów; cztery dziewczyny służebne, które dostały spazmów na sam widok jego z poza firanek jednej z zapasowych sypialni; rektora parafji, któremu zdmuchnął świecę, kiedy wracał późno w nocy z biblioteki i który od tego czasu stale był w leczeniu u sira Williama Gulla z powodu ciężkiego rozstroju nerwowego i wreszcie starą panią de Tremouillac, która, obudziwszy się pewnego dnia wcześniej i ujrawszy kościotrupa siedzącego na fotelu przy kominku i czytającego jej pamiętnik, dostała z przestraschu zapalenia mózgu i przeleżała w łóżku sześć ty-

godni, a po wyzdrowieniu pojednała się z kościołem i zerwała wszelkie stosunki z notorycznym sceptykiem, panem de Voltaire.

Przypomniał sobie straszną noc, kiedy znalazł niegodziwca, lorda Kenterwila, uduszonego w ubieralni wpakowanym mu do gardła waletem karowym. Zanim wyzionął ducha, wyznał on, że tą samą kartą oszukał Karola Jamesa Foxa o 50.000 funtów u Krokfordów, że teraz Duch zmusił go do połknięcia jej. Przypomniały mu się wszystkie jego wielkie czyny, zaczawszy od kamerdynera, który zastrzelił się w kredensie po ujrzeniu zielonej ręki, pukającej do ramy okiennej i skończywszy na pięknej lady Stutfield, która musiała nosić zawsze na szyi czarną aksamitkę, aby ukryć ślady pięciu palców, wypalone na białej jej skórze i która w końcu utopiła się w sadzawce na końcu Alei Królewskiej. Z entuzjastycznym egoizmem prawdziwego artysty zaczął raz jeszcze przebiegać pamięcią najślawniejsze swoje role i gorzko się uśmiechnął na wspomnienie ostatniego swojego występu, jako „Czerwonego Rutena czyli Uduszonego Dziecięcia“, swojego debiutu w roli „Chudego Gibeona, Wysysacza Krwi z Bexley“ oraz olbrzymiego wrażenia, jakie wywołał pewnego pięknego wieczoru czerwcowego, bawiąc się w kręgle własnymi kośćmi na placu lawn-tennisowym. I po tem wszystkim jacyś przekłęci Amerykanie przyjeżdżają i dają mu maść wschodzącego Słońca i ciskają mu w głowę poduszki Tonie

do zniesienia! Żaden zresztą duch w historii nie był traktowany w podobny sposób. Postanowił więc zemścić się i aż do białego dnia pogrążony był w głębokim zamyśleniu.

III.

Zebrawszy się nazajutrz z rana przy śniadaniu, szczegółowo rozpatrywała rodzina Otisów sprawę ducha. Minister Stanów Zjednoczonych był oczywiście nieco urażony przekonawszy się, że duch odrzucił jego dar.

— Nie chciałbym bynajmniej obrazić ducha, a wobec tego, że przebywa on w tym domu od tak dawna, uważam rzucanie w niego poduszkami za niezbyt grzeczne.

Słuszną tę uwagę przyjęły bliźnięta — przyznały to ze wstydem — wybuchem śmiechu.

— Z drugiej zaś strony — ciągnął dalej — jeśli stanowczo nie zechce on używać maści Wschodzącego Słońca, będziemy zmuszeni odebrać mu łańcuchy. Nie podobna byłoby spać przy takim hałasie na korytarzu.

Przez całą jednakże resztę tygodnia nie przeskądzało im nic i jedyną rzeczą, zwracającą ich uwagę, było stałe odnawianie się plamy na podłodze w bibliotece. Było to niewątpliwie bardzo dzi-

wne, ponieważ drzwi biblioteki były stale zamykane na noc przez samego pana Otisa, a okna szczelnie zatarasowywane. Kameleonowa zmienność koloru plamy wywoływała też wiele komentarzy. Czasem była brunatno-czerwona, innym razem purpurowa, jeszcze innym karminowa, zaś pewnego ranka, kiedy zeszli na dół na wspólną modlitwę, według rytuału Wolnego, Amerykańskiego, Reformowanego, Biskupiego Kościoła, zastali ją szmaragdowo-zieloną. Kalejdoskopowe zmiany te bawiły naturalnie wielce całe towarzystwo, które co wieczór zaczęło nawet robić na ten temat zakłady. Jediną osobą, nie przyjmującą udziału we wszystkich tych żartach, była Wirginja, która z niewytłumaczonego jakiegoś powodu, bardzo była zawsze zgnębiona na widok krwawej plamy i prawie, że się rozplakała owego ranka, kiedy była szmaragdowo-zielona.

Powtórne ukazanie się ducha nastąpiło w niedzielę w nocy. Wkrótce po udaniu się wszystkich na spoczynek, zaalarmowany został cały dom strasznym hukiem w hallu. Zbiegłszy pośpiesznie na dół, przekonano się, że wielka stara zbroja spadła z postumentu na posadzkę, a w wysokim poręczowym fotelu siedział duch Kenterwilu, rozcierający kolana z grymasem gwałtownego bólu. Bliźniacy, którzy przynieśli swoje strzelby nabite grochem, wystrzelili w niego cały ładunek z celnością strzału, możliwą do osiągnięcia jedynie drogą długiego i starannego ćwiczenia się na nauczycielu kaligrafji, a Amerykański Minister skierował na niego rewolwer, pro-

^szając go — w myśl Kalifornijskiej etykiety — o podniesienie rąk do góry! Duch zerwał się z dzikim okrzykiem wściekłości i prześlizgnął się między nimi naksztalt mgły, gasząc świecę Waszyngtona Otisa i pozostawiając tym sposobem wszystkich w zupełnej ciemności. Dobiegłszy do górnego podestu schodów, uspokoił się nieco i postanowił za-produkować słynny swój wybuch szatańskiego śmiechu. W niejednej już okazji użył go z wielkim powodzeniem. Mówią, że peruka lorda Rakera osiwiła pod jego wpływem w ciągu jednej nocy, a faktem już jest nieulegającym kwestji, że trzy gwernantki, Francuzki, wymówiły wskutek niego miejsce przed upływem miesiąca. Zaśmiał się więc najstraszliwszym swoim śmiechem, aż zatrzęsa się stara powała; nie zdążyło jednak jeszcze przebrzmieć przeraźliwe echo, gdy otworzyły się drzwi i na progu ukazała się pani Otisowa w jasno-niebieskim szlafrocuku.

— Zdaje mi się, że pan musi być chory — rzekła — i dlatego przyniosłam panu flaszeczkę tynktury d-ra Dobela. Jeśli to z niestrawności, lekarstwo na pewno poskutkuje.

Duch wytrzeszczył na nią z wściekłością oczodoły i zaczął odrazu robić przygotowania do przestoczenia się w dużego czarnego psa, z której to roli służył i której doktor domowy przypisywał zawsze chroniczny idjotyzm wuja lorda Kenterwila, wielebnego Tomasza Hortona. Odgłos zbliżających się kroków przeszkodził mu jednak w wykonaniu

okrutnego zamiaru, zadowolnił się więc wypromieniowaniem ze siebie lekko fosforycznego światła i znikł z ponurym cmentarnym jękiem w tej samej właśnie chwili, kiedy dogoniły go bliźniaki. Dobiegłszy do swojej izby, upadł złamany na tapczan, w przystępie najgwałtowniejszego wstrząśnienia. Gminność bliźniaków i gruby materializm pani Otisowej były oczywiście niesłychanie przykre, ale najbardziej zgnębiło go, że nie mógł nosić zbroi. Miał nadzieję, że nawet nowocześni Amerykanie doznają wstrząśnienia nerwów na widok „Widma w Zbroi“, jeśli już nie z innego powodu, to chociażby przez szacunek dla narodowego ich poety, Longfellowa autora poematu pod tym tytułem, nad którego wdzięcznemi i pociągającemi rymami spędził on sam niejedną samotną godzinę podczas pobytu Kenterwilów w mieście. Zresztą była to jego własna zbroja. Nosił ją z wielkiem powodzeniem na turnieju w Kenilworth i zaszczycony był wielkimi z jej powodu komplementami ze strony, ni mniej, ni więcej, jeno samej Dziewiczej Królowej. Kiedy jednakże wdział ją teraz, zachwiał się pod straszliwym ciężarem ogromnego napierśnika i stalowego kasku i ciężko upadł na kamienną posadzkę, potłukłszy sobie oba kolana oraz napięstek prawej ręki.

Przez kilka dni następnych był mocno chory i byłby się wcale nie ruszał ze swojej izdebki, gdyby nie musiał utrzymywać krwawej plamy w należyłym porządku. Dzięki wielkiej jednak o siebie dbałości wyzdrowiał i postanowił dokonać po raz trzeci

próby nastraszenia Ministra Stanów Zjednoczonych i jego rodziny. Wybrał na ukazanie się swoje piątek, 17 sierpnia, i większą część dnia tego spędził na oglądaniu swojej garderoby, decydując się ostatecznie na wielki, nasunięty na oczy kapelus z czerwonym piórem, biały, sfałdowany przy szyi i zakończeniu rękawów, całun oraz zardzewiały sztylet. Ku wieczorowi lunął deszcz, a wiatr dął tak gwałtownie, że wszystkie szyby w drzwiach i oknach starego domu trzęsły się i brzęczały. Taką właśnie pogodę najlepiej lubił. Plan jego działania był następujący: miał wejść niepostrzeżenie wprost do pokoju Waszyngtona Otisa, a stanąwszy u stóp łóżka, zagadać coś do niego upiornym językiem i trzykrotnie wbić mu sztylet do gardła przy wtórze cichej muzyki. Żywił do Waszyngton specjalną urazę, doskonale zdając sobie sprawę, że on to właśnie wycierał codziennie Kenterwilską krwawą plamę za pomocą nieporównanego Wywabiacza Pinkertonowskiego. Po wprowadzeniu niebacznego śmiałka w stan bezgranicznego przerażenia, miał udać się do pokoju, zajmowanego przez Ministra Stanów Zjednoczonych i jego żonę, położyć lepką dłoń na czole pani Otisowej, sycząc równocześnie do ucha jej mężowi straszliwe tajniki kostnicy. Nie mógł się tylko na nic zdecydować w stosunku do Wirginji. Nigdy go ona niczem nie dotknęła, była miła i łagodna. Kilka głuchych jęków z głębi szafy wystarczy — jak sądził — aż nadto, aby ją obudzić, gdyby zaś nie wystarczyło, zastuka kościstymi palcami w ramię

okienną. Natomiast bliźniakom postanowił dać po-
rządną nauzkę. Pierwszą rzeczą, którą należało
zrobić, było usiąść każdemu z nich na klatce pier-
siowej, celem wywołania duszącego wrażenia zmory,
a potem stanąć pomiędzy ich przysuniętymi do sie-
bie łózkami w postaci zielonego, lodowato mroźne-
go widma, a kiedy zupełnie sparaliżuje ich strach,
zrzucić całun i zacząć czołgać się po podłodze, ob-
nażając białe, wyblichowane kości i wyszczerzając
jedno kołujące ślepię w roli „Niemego Daniela czy-
li Szkieletu Samobójcy“, w której niejednokrotnie
wywołał wielki efekt i którą uważał też za niezgor-
szą od słynnej roli „Szaleńca Marcina“ czyli „Za-
maskowanej Tajemnicy“.

O wpół do jedenastej usłyszał, że cała rodzina
poszła spać. Przez czas jakiś nie dawały mu spo-
koju dzikie wybuchy śmiechu, rozlegające się w po-
koju bliźniaków, którzy z lekkomyślną wesołością
żaków dokazywali przed udaniem się na spoczynek.
Wreszcie o kwadrans na dwunastą zapanowała cisza.
Wraz z uderzeniem północy wyruszył. Sowa zastu-
kała dziobem w ramę okienną, kruk zakrakał z po-
śród gałęzi wielkiego cisu, a wiatr zawył dokoła do-
mu niby dusza potępiona. Rodzina Otisów spała
jednak spokojnie, nie przeczuwając, co ją czeka.
Chrapanie Ministra Stanów Zjednoczonych zagłusza-
ło plusk deszczu i huk burzy. Duch wysunął się
ukradkiem z poza buazerji z jadowitym uśmiechem,
okalającym jego okrutne, pomarszczone usta; w chwili
kiedy prześlizgiwał się wzdłuż wielkiego okna

w wykuszu, w którem herb jego i zamordowanej przez niego żony wymalowany był purpurą i złotem, skrył się księżyc za chmurę. Przesuwał się cicho dalej jak zły cień. Mrok nawet zdawał się odsuwać od niego ze wstrętem w miarę jak szedł dalej. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy jakieś wołanie. Zatrzymał się. Było to jednak tylko wycie psów z Czerwonego Folwarku, sunął więc dalej, miotając dziwne przekleństwa, używane w szesnastym stuleciu i potrząsając zardzewiałym sztyletem w powietrzu północy. Wreszcie dotarł do korytarza, który prowadził do pokoju Waszyngtona. Stał na chwilę, a wiatr rozwiewał mu długie, siwe włosy dokoła głowy, skręcając zarazem w dziwaczne, fantastyczne fałdy niewypowiedzianą potworność jego całunu. Zegar wybił kwadrans. Poczul, że nadszedł właściwy moment. Zachichotał do samego siebie i skreślił za węgiel; za ledwie jednak to uczynił, upadł nawznak ze straszliwym jękiem przerażenia, kryjąc zbielałą twarz w długich kościstych palcach.

Wprost przed nim stała przerażająca zjawa, nieruchoma, jakgdyby wykuta z kamienia, potworna jak wizja szaleńca. Głowa jej była łysa i osmalona, twarz okrągła, tłusta i biała: ohydny śmiech zdawał się ściągać jej rysy w stały grymas. Z oczu tryskały snopy szkarłatnego światła, jama ustna zionęła ogniem, a wstrętna odzież, podobna do jego własnej, spowijała białym całunem tytaniczną postać. Na piersi jej był plakat z dziwnym napisem antycznymi zgłoskami, opiewający zapewne czyn jakiś

hańbiący, jakieś wspomnienie grzechów śmiertelnych, jakiś straszliwy szereg zbrodni; w prawej ręce trzymała zjawa pałasz z błyszczącej stali.

Widok ten przeraził go straszliwie, nigdy bowiem dotychczas nie widział ducha; obrzuciwszy więc przelotnem spojrzeniem potworne widziadło, uciekł do swego pokoju, potykając się i płacząc o długi całun i gubiąc wreszcie po drodze zardzewiałą miecz, który wpadł do wysokich myśliwskich butów ministra, gdzie kamerdyner znalazł go nazajutrz rano. Stanąwszy wreszcie w czterech ścianach swojej izby, rzucił się na tapczan i zarył w pościel. Po chwili jednak zwyciężył w nim dawny rycerski duch Kenterwilów, postanowił też pójść i przemówić do owego drugiego ducha, jak tylko się rozwidni. Istotnie, z chwilą, kiedy brzask dnia osrebrzył szczyty pagórków, powrócił na owo miejsce, na którym po raz pierwszy ujrzał szkaradne widziadło, czując, że jednakże dwa duchy lepsze są niż jeden i że z pomocą nowego swego przyjaciela łatwiej upora się z bliźniakami. Przybywszy jednak na miejsce, ujrzał widok straszliwy. Coś się musiało widocznie przytrafić upiorowi, światło znikło bowiem zupełnie z pustych oczodołów, błyszczący miecz wypadł mu z ręki, a sam on opierał się o mur w niemożliwie niewygodnej postawie.

Rzucił mu się na pomoc i pochwycił go w ramiona, gdy wtem, ku najwyższemu jego przerażeniu, głowa odpadła od tułowia i potoczyła się na posadzkę, a ciało upadło nawznak, tak, że w w obję-

ciach jego pozostała biała bawełniana zasłona z łóżka, a u stóp jego leżała szczotka do zamiatania, siekiera kuchenna oraz wydrążona rzepa. Nie będąc w stanie zrozumieć dziwnego tego przeistoczenia, chwycił gorączkowo za plakat, na którym w szarem świetle poranka odczytał przerażające słowa:

DUCH OTISÓW

Jedyny prawdziwy i oryginalny Strach.

Strzec się naśladowań

Wszystkie inne podrobione.

Straszliwa prawda przeszła mu błyskawicą myśl; zadrwiono z niego, oszukano go haniebnie. Dziki szal gniewu zaświecił po dawnemu w jego oczach, zacisnął bezzębne dziąsła podnosząc zwiędłe ręce wysoko ponad głowę, poprzysiął w kwiecistej frazeologii starej szkoły, że kiedy kur zapieje po raz wtóry, dokonane będą krwawe czyny i morderstwo podąży cichą stopą wdal.

Zaledwie wypowiedzieć zdążył straszliwe to zaklęcie, rozległo się z okrytego czerwonym łupkiem dachu odległego domostwa, pianie koguta. Zaśmiał się długim, przyciszonym, gorzkim śmiechem i czekał. Czekał z godziny na godzinę, ale kogut z niewytłumaczonej jakiejś przyczyny nie zapiał po

raz drugi. Wreszcie o wpół do ósmej przybycie dzie-
wcząt służebnych zmusiło go do zaprzestania trwoż-
nego tego czuwania, powlókł się więc do swojej
izby, myśląc o próżnych nadziejach i udaremnio-
nych zamiarach. Wziął się też zaraz do przejrzenia
kilku książek, traktujących o dawnem rycerstwie,
które nadzwyczaj lubił, i wyczytał w nich, że ile-
kroć zakłęcie jego było stosowane, kur piał zawsze
po raz wtóry. — Bodaj zdechł przeklęty ten ptak!
— mruknął — dawniej byłbym go nadział na włócz-
nię i zmusił go, bodaj nawet w godzinę skonu, do
zapiania dla mnie! Powiedziawszy to, ułożył się
w wygodnej ołowianej trumnie i pozostał w niej
aż do wieczora.

IV.

Następnego dnia czuł się mocno osłabionym i zmęczonym. Straszliwe podniecenie ostatnich kilku tygodni zaczęło mu dawać się we znaki. Nerwy jego zupełnie były rozklekotane, dygotał też za łada szmerem. Przez pięć dni nie wychodził ze swojej izby i wkońcu postanowił zaniechać odnawiania płamy na podłodze bibliotecznej.

Skoro rodzinie Otisów niepotrzebna jest ta plama, najlepszy to dowód, że nie zasługują oni na nią. Są to widocznie ludzie niskiego, materialnego poziomu, niezdolni do ocenienia symbolicznej wartości zjawisk zmysłowych. Kwestja zjawisk nadzmysłowych i ciał astralnych była oczywiście zupełnie odmienną dziedziną, niezależną od jego woli. Ukazywanie się w korytarzu raz w tygodniu oraz wydawanie niezrozumiałych dźwięków przez wielkie okno w wykuszu w każdą pierwszą i trzecią środę miesiąca wchodziło w zakres uroczystych jego obowiązków, nie widział też możliwości wycofania się z nich z honorem. Życie jego było niegodziwe, to

prawda, z drugiej jednak strony był on nadzwyczaj obowiązkowy w stosunku do wszystkiego, co było związane ze światem nadzmysłowym. To też przez następne trzy soboty spacerował po korytarzu, jak zwykle między północą a trzecią z rana, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, aby nie być widzianym ani słyszany. Zdejmował buty, stapał na palcach, po stoczonych przez robaki drzewne, spróchniałych, starych posadzkach, zarzucał na siebie szeroką, czarną, aksamitną opończę i starannie naoliwiał łańcuchy maścią Wschodzącego Słońca. Przyznać należy, że bardzo, trudno mu było prze-móc się i chwycić tego środka ostrożności. Wkońcu jednakże, pewnego wieczora, kiedy cała rodzina była na dole przy obiedzie, zakradł się do sypialni pani Otisowej i zabrał butelkę. Zrazu czuł się nieco upokorzonym, niebawem jednak wziął górę rozsądek, który kazał mu uznać wielkie zalety tego wynalazku, nader przydatnego dla jego celów. Mimo wszystkie zabiegi jednak nie udało mu się uniknąć przykrości. Przeciągano nieustannie przez całą szerokość korytarza sznury, o które potykał się w ciemności, a pewnego razu, występując w roli „Czarnego Izaaka“ czyli „Myśliwego z lasów Ho-glejskich“, upadł bardzo niebezpiecznie na sztucznej ślizgawce z masła, którą bliźniaki urządzili od wejścia do Gobelinowej komnaty aż do górnego podestu klatki schodowej. Zniewaga ta tak go roz-wścieczyła, że postanowił dokonać ostatecznej pró-by uratowania swojej godności i stanowiska spo-

łeczny. Zdecydował się więc odwiedzić zuchwałych młodych Etończyków następnej nocy jako „Śmiały Rupert“ czyli „Bezgłowy Hrabia“.

W roli tej nie ukazywał się już od 70-ciu lat przeszło, to znaczy od czasu, kiedy tak przeraził w tem przebraniu piękną lady Barbarę Modisch, że zwróciła ona pierścień zaręczynowy dziadkowi obecnego lorda Kenterwila i uciekła do Gretna Green z przystojnym Jackiem Kestletonem, oświadczając, że za nic w świecie nie zgodzi się wejść do rodziny, która pozwala tak okropnemu widmu spacerować o zmierzchu po tarasie. Biedny Jack został potem zastrzelony w pojedynku przez lorda Kenterwila, a lady Barbara umarła na złamane serce zanim rok minął, tak że występ ten należał pod każdym względem do udatnych. Było to wszakże nie zmiernie trudne przebranie, jeśli można użyć podobnie teatralnego wyrażenia odnośnie do jednego z największych tajników świata nadprzyrodzonego lub też, chcąc użyć bardziej naukowego terminu, świata wyższego nad przyrodzony, dlatego też samo przygotowanie zajęło mu pełne trzy godziny. Wkońcu wszystko było gotowe. Zadowolony był bardzo ze swego wyglądu, mimo, że wysokie skórzane buty myśliwskie, nieodłączne od stroju, były nieco za obszerne, nie mógł też znaleźć drugiej pary pistoletów; wogóle jednak jak najlepszej był myśli. Kwadrans po pierwszej wyslizgnął się z za buazerji i pomknął wzdłuż korytarza. Doszedłszy do pokoju, zajętego przez bliźniaków i noszącego nazwę Błękitnej Kom-

naty od koloru obicia, zastał drzwi nieco uchylone. Pragnąc ukazać się w sposób efektowny, szeroko je rozwarł, gdy nagle ciężki kubeł wody upadł wprost na niego, oblewając go całego aż do skóry i chybając o parę cali lewe jego ramię. Równocześnie usłyszał przytłumione wybuchy śmiechu, dochodzące z wielkiego podwójnego łóżka. Cios ten był tak silny dla jego starganych nerwów, że uciekł, jak tylko mógł najszybciej do swojej izby i nazajutrz leżał złożony ciężką niemocą z przeziębienia. Jediną pociechą wcalej fatalnej tej sprawie był dla niego fakt, że nie wziął z sobą głowy, gdyby był bowiem to uczynił, mogłyby konsekwencje być bardzo poważne.

Po tym wypadku stracił już zupełnie nadzieję przestraszenia gruboskórnej rodziny Amerykańskiej, zadowolnił się więc pelzaniem po korytarzach w miękkich pantoflach, w grubym czerwonym szalu, owiązanym dokoła szyi, aby uchronić się przed przeciągiem oraz z małym łukiem na wypadek napaści ze strony bliźniaków.

Cios ostateczny spotkał go w dniu 19-ym września. Zeszedł na dół do wielkiego hallu wejściowego pewny, że tam nikt mu nie przeszkodzi, i zabawił się robieniem uwag satyrycznych nad wielkimi fotografjami firmy Saroni'ego, przedstawiającemi Ministra Stanów Zjednoczonych i jego żonę i zastępującemi dawne portrety rodzinne Kenterwilów. Odziany był skromnie ale porządnie w długi całun, wtkowany ziemią cmentarną; dolną szczękę miał

podwiazaną pasem żółtego płótna, a w rękę trzymał małą latarkę i rydel grabarza. Był to strój „Jonasza bez Grobu“, czyli „Porywacza Ciał“, jednego z najwybitniejszych jego wcieleń, o którym Kenterwilowie najwięcej mieli powodów pamiętać, jako o właściwej przyczynie ich kłótni z sąsiadem [lordem Ruffordem. Był kwadrans po drugiej nad ranem i, o ile mógł sądzić, dom cały pogrążony był w głębokim uśpieniu. Mimo to w chwili kiedy kierował kroki swoje ku bibliotece, aby zobaczyć, czy pozostał tam jeszcze ślad krwawej plamy, wyskoczyły nagle z ciemnego kąta dwie postacie, dziko wymachujące rękami w powietrzu i wrzeszczące mu z całych sił wprost do ucha jakiś niezrozumiały wyraz „buu“!...

Ogarnięty panicznym strachem, zupełnie zrozumiałym w danych warunkach, uciekł na schody, ale tam czekał już na niego przyczajony Waszyngton z ogrodową polewaczką. Osaczony ze wszystkich stron przez nieprzyjaciół, uratował się zniknięciem w wielkim żelaznym piecu, w którym na szczęście dla niego nie napalono, i torować sobie musiał dalszą drogę przez rury i kominy, tak, że wrócił do siebie straszliwie umorusany, oberwany i zrozpaczony.

Po blamażu tym nie wyruszał już więcej na nocne wyprawy. Bliźniaki czekały na niego wielokrotnie, i co noc zasiewały podłogi korytarzy łupinkami od orzechów, ku wielkiemu utrapieniu rodziców i służby, ale wszystko to nadaremnie. Pan Otis

zabrał się na nowo do wielkiego swojego dzieła o dziejach Stronnictwa Demokratycznego, nad którym pracował od kilku już lat; pani Otisowa urządziła wspaniałą piekarnię, która wprawiła w zachwyt całą okolicę; chłopcy zajęli się jokerem, pokerem, lakrosem i innymi amerykańskimi narodowymi grami, a Wirginja jeździła na swoim kucyku w towarzystwie młodego księcia Cheshire, spędzając w Kenterwilu ostatni tydzień wakacji. Przypuszczano, że duch wywędrował gdzieś, o czym pan Otis doniósł nawet lordowi Kenterwilowi, który, w odpowiedzi, wyraził wielkie zadowolenie z powodu tej nowiny, przesyłając zarazem serdeczne powinszowania godnej małżonce ministra.

Mylili się wszakże p. p. Otisowie. Duch był w dalszym ciągu w domu, a chociaż w danym momencie czuł się chory, bynajmniej nie miał zamiaru złożenia broni, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że w liczbie gości bawiących w pałacu, znajdował się młody książę Cheshire, którego stryjeczny dziadek, lord Franciszek Hilton, założył się ongi o sto gwinei z pułkownikiem Kerburym, że zagra w kości z Duchem z Kenterwilu, i następnego rana znaleziony był na podłodze pokoju karcianego w takim stanie Paralitycznego bezwładu, że, jakkolwiek dożył późnego wieku, nigdy już nie mógł wymówić nic więcej poza wyrazami: „Podwójna szustka”. Historia ta bardzo była głośna w swoim czasie, jednakże, przez szacunek dla obu znakomitych rodów, starano się wszelkimi sposobami możliwie ją zatuzować.

Mimo to można znaleźć dokładny opis wszystkich związanych z nią szczegółów w 3-im tomie „Wspomnień lorda Tettla o księciu Regencie i jego Przyjaciółach“. Nic dziwnego zatem, że duch pragnął dowieść, iż nie utracił dawnego wpływu na potomka Hiltonów, z którym pozostawał w dalekim pokrewieństwie, ponieważ własna jego siostra cioteczna poślubiła secundo voto lorda Bulkeleya, od którego w prostej linii pochodzą, jak wiadomo, książęta Cheshire. Wszelkie też poczynił przygotowania, aby ukazać się młodemu, zakochanemu w Wirginji księżatku w słynnej swojej roli „Wampira-Mnicha, czyli Benedyktyna bez krwi“. Wcielenie to było zjawą tak przerażającą, że kiedy ukazała się starej lady Hartrup w fatalną dla niej wigilję Nowego, 1764 roku, dostała ona ataku najprzeraźliwszego krzyku, zakończonego napadem apoplektycznym, w którym umarła po upływie trzech dni, wydziedziczywszy uprzednio Kenterwilów, najbliższych swoich krewnych i pozostawiwszy cały majątek londyńskiemu swemu aptekarzowi.

W ostatniej wszakże chwili przemógł strach przed bliźniakami, który nie pozwolił Duchowi opuścić pokoju, dzięki czemu młody książę spał spokojnie pod pióropuszem baldachimu, w królewskiej sypialni i śnił o Wirginji.

V.

W kilka dni później Wirginja i jej nieodłączny złotowłosy rycerz zrobili konną wycieczkę na łąki Brocklejskie, gdzie dziewczynka tak fatalnie rozdarła sobie suknię przy braniu przeszkody przez płot, że powróciwszy do domu, postanowiła pobiec do siebie tylną klatką schodową, aby nikt nie mógł jej zobaczyć. Przebiegając obok sali gobelinowej, której drzwi były otwarte, dostrzegła w przelocie jakąś postać, a przypuszczając, że jest to garderobiana jej matki, która często tutaj siadywała z robotą, weszła, aby poprosić ją o naprawienie sukni. Ku najwyższemu swemu wszakże zdumieniu przekonała się, że był to Duch z Kenterwilu we własnej osobie! Siedział przy oknie, patrząc na złote i purpurowe liście spadające z żółknących drzew i wirujące w jesien-
nem powietrzu. Głowę miał opartą na rękę a skulenie postaci całej świadczyło o stanie najgłębszego zgnębienia. Wygląd jego był tak beznadziejnie złamany, że mała Wirginja, której pierwszym odruchem było uciec i zamknąć się w swoim pokoju.

poczuła wielką dla biedaka litość, postanowiła też postarać się podnieść go trochę na duchu. Krok jej był tak lekki, a pogrążenie jego w myślach tak głębokie, że nie zauważył obecności jej, dopóki nie przemówiła do niego.

— Bardzo mi pana żal — rzekła — ale bracia moi wracają jutro do Eton, o ile więc zachowa się pan przyzwoicie, nikt panu nie będzie dokuczał.

— Niedorzecznością jest żądać ode mnie, abym zachowywał się przyzwoicie — odparł, patrząc ze zdumieniem na śliczną dziewczeczkę, która odważyła się przemówić do niego. — Muszę potrząsać łańcuchami i krążyć w zamku po nocy, jeśli o to pani idzie. Jest to jedyna moja racja bytu.

— To nie jest żadna racja bytu i pan sam wie najlepiej, że pan był złym człowiekiem. Pani Umney opowiedziała nam pierwszego zaraz dnia po naszym przyjeździe, że pan zabił swoją żonę.

— Bynajmniej temu nie przeczę — odrzekł Duch zgryźliwie — ale była to sprawa czysto rodzinna, która nie powinna nikogo obchodzić.

— To bardzo źle zabijać ludzi! — rzekła Wirginja, zdradzająca od czasu do czasu pełną słodczy powagą purytańską, odziedziczoną po jakimś przodku z Nowej Anglii.

— Nienawidzę taniej surowości oderwanej etyki! Żona moja była bardzo brzydka, nigdy nie krochmaliła należycie moich kryz i nie miała pojęcia o gotowaniu. Niech pani sobie wyobrazi, że postrzeliłem kiedyś wspaniałego jelenia w lasach Hoglejskich

i nie zgadnie pani, z jakim sosem podała go do stołu... Mniejsza zresztą o to teraz, kiedy i tak wszystko już przepadło. Wcale też nie było zacnie ze strony jej braci, że mnie na śmierć zamorzyli głodem, chociaż nawet zabiłem ich siostrę.

— Zamorzyli pana głodem?! O, panie Duchu, chciałam powiedzieć, Sir Simonie, może pan jest głodny? Mam buterszyn w torebce, mogę go panu dać.

— Nie, dziękuję pani, nigdy nic teraz nie jadam; bardzo to jednak grzecznie z pani strony; pani jest daleko uprzejmiej niż od całej wstrętnej, grubjańskiej gminnej, niegodziwej twojej rodziny.

— Milcz pan! — krzyknęła Wirginja, tupnąwszy nogą — to pan jest grubjański, wstrętny i gminny, a co się tyczy niegodziwości, pan wie najlepiej, że to pan wykradł mi farby z pudełka, aby odnawiać co noc tę śmieszoną plamę krwawą w bibliotece. Naprzód zabrał mi pan wszystkie moje czerwone kolory, nie wyłączając karminu, tak że nie mogłam już więcej malować zachodów słońca; potem wziął pan szmaragdowo zielony i żółty chromowy, wkońcu pozostał mi tylko niebieski i biały, i dlatego mogłam już tylko robić pejzaże księżycowe, nudne do oglądania i wcale niełatwe do malowania. Nigdy pana nie oskarżałam, chociaż bardzo byłam na pana zła i cała ta rzecz wogóle bardzo była głupia; któż bowiem słyszał kiedykolwiek o szmaragdowo-zielonej krwi?

— Prawda — odparł Duch pokornie — ale co miałem czynić? Bardzo teraz trudno o prawdziwą krew, a ponieważ brat pani zaczął pierwszy wycierać płamę Niezrównanym Wywabiaczem, nie widziałem powodu, dlaczego nie miałbym brać farb pani. Co się zaś tyczy koloru — to kwestja gatunku krwi; Krew Kenterwilów naprzykład jest niebieska, najbardziej niebieska w całej Anglji; wiem jednak, że wy, Amerykanie, nie dbacie o takie rzeczy.

— Nie ma pan żadnego pojęcia o tem: — najlepiej zrobi pan, emigrując do Ameryki dla uzupełnienia pańskiego wykształcenia. Ojciec mój bardzo chętnie wyrobi panu wolny przejazd, a chociaż wszelkiego rodzaju „spiritus“ obłożony jest u nas wysokiem cłem, damy sobie radę z komorą, gdyż wszyscy urzędnicy celni są demokratami. Niech się pan tylko dostanie do New-Jorku, a napewno będzie pan tam miał wielkie powodzenie. Znam u nas mnóstwo ludzi, którzy daliby tysiące dolarów, ażeby mieć przodka, a cóż dopiero Ducha rodzinnego!

— Zdaje mi się, że Ameryka nie mogłaby mi się podobać.

— Pewnie dlatego, że nie mamy ruin i osobliwości — rzekła Wirginja ironicznie.

— Nie macie ruin! nie macie osobliwości! — odpowiedział Duch — macie waszą flotę i wasze obyczaje...

— Dobranoc. Idę do papy poprosić go, aby dał bliźniakom dodatkowy tydzień wakacji.

— Niech pani nie odchodzi, panno Wirginjo! — jestem taki osamotniony i taki nieszczęśliwy; na prawdę nie wiem, co mam robić. Chciałbym spać i nie mogę.

— Co też pan za głupstwa gada! Trzeba się tylko położyć i zdmuchnąć świecę. Czasem bardzo jest trudno nie zasnąć, zwłaszcza w kościele, ale spać — w tem niema nic trudnego. Nawet małe dzieci w kołysce umieją to, a przecież nie są bardzo mądre.

— Nie śpię już od trzystu lat! — rzekł Duch smutnym głosem. — Piękne niebieskie oczy Wirginji rozwarły się ze zdumienia. — Przez trzysta lat nie zasnąłem i taki jestem zmęczony...

Wirginja spoważniała odrazu i usteczka jej zaręgały niby płatki róż.

— Biedny, biedny Duchu — szepnęła — czy nie ma pan gdzie spać?

— Daleko, za sosnowemi lasami — odpowiedział on cichym, sennym głosem — jest mały ogród. Trawa w nim rośnie wysoko i głęboko, bieleją wśród niej wielkie gwiazdy rumianów, a słowiki wywodzą całemi nocami piękne trele. Śpiewają przez noc całą; zimny kryształowy księżyc śle na ziemię swoje promienie, a rozłożysty cis rozpościera nad śpiącymi olbrzymie ramiona.

Oczy Wirginji zaszyły łzami. Wstydząc się ich, ukryła twarz w dłoniach.

— Mówi pan o Ogrodzie Śmierci? — szepnęła.

— Tak, Śmierci. Śmierć musi być bardzo piękna. Leżeć w miękkiej, brunatnej ziemi, mając trawę szumiącą ponad głową i wsłuchiwać się w ciszę. Nie mieć ani jutra ani wczoraj. Zapomnieć o czasie, zapomnieć o życiu i mieć zupełny spokój. Pani jedna, panno Wirginjo, możesz mi pomóc. Otworzyć możesz przede mną wrota Śmierci, gdyż idzie z Tobą zawsze miłość, a miłość mocniejsza jest od Śmierci.

Wirginja zadrżała; lęk straszny wstrząsnął jej ciałem. Przez kilka chwil głuche zapanowało milczenie. Zdawało jej się, że śni sen jakiś straszliwy.

Po chwili przemówił znów Duch, a głos jego brzmiał niby jęk wichru.

— Czy czytałaś pani starą przepowiednię na oknie bibliotecznem?

— O, często — zawołało dziewczątko, podnosząc głowę. — Umieję ją na pamięć. Wypisana jest dziwacznie, czarnymi zgłoskami, tak że trudno ją odczytać. Składa się z sześciu tylko wierszy;

„Gdy złotowłosa, niewinna dziewczyna
Do modłów złego grzesznika nakłoni,
Gdy migdał suchy różą się zapłoni,
I leżkę otrze malutka dziecina, —
Do domu wówczas spokój wejdzie błogi,
cisza wróci w Kenterwilu progi“.

— Nie rozumiem jednak, co one znaczą.

— Znaczą one, że musisz płakać za mnie, za grzechy moje, gdyż ja sam nie mam łez, i modlić się za mnie, za duszę moją, bowiem ja sam nie

mam wiary; a wówczas, jeśli zawsze byłaś dobrą, słodką i łagodną, Anioł Śmierci ulituje się nade mną. Widzieć będziesz straszliwe widma w ciemności, a złe głosy grozić ci będą karami, nie uczynią ci; wszakże nic złego, bowiem żadne moce Piekiełne nie mają władzy nad czystością dziecka.

Wirginja nie dała odpowiedzi i Duch załamał ręce w dzikiej rozpacz, patrząc na pochyloną złotowłosą główkę. Nagle podniosła się, bardzo blada, z dziwnem w oczach światłem.

— Nie boję się! — oznajmiła głosem stanowczym. — Nie boję się; prosić będę Anioła, aby ulitował się nad tobą.

Zerwał się z fotela ze słabym okrzykiem radości i, ujmując jej rękę, pochylił się nad nią ze staroświecką galanterją i ucałował ją. Palce jego zimne były jak lód, a wargi płonęły ogniem. Wirginja nie zawahała się jednak, kiedy wiódł ją przez mroczną komnatę. Na wyblakłych, zielonych gobelinach wyhaftowani byli myśliwi. Dęli oni w zawieszzone na taśmach rogi i machali na nią rękami, aby się wróciła. „Wróć się Wirginjo, wróć się“ — wołali — ale Duch ścisnął mocno jej dłoń: a ona przymknęła oczy, aby nic nie widzieć. Potworne zwierzęta o jaszczurczych ogonach i wylupionych oczach mrugały na nią z ponad rzeźbionej futryny kominka, szepcząc; „Strzeż się, Wirginjo, strzeż się! może już nigdy nie będziemy cię oglądali“ — ale Duch mknął jeszcze szybciej, a Wirginja nie słuchała nikogo. Kiedy doszli do końca

komnaty, zatrzymał się i wyrzekł kilka wyrazów których nie mogła zrozumieć. Otworzyła oczy i spostrzegła, że ściana rozsunęła się, nakształ mgły, po za ścianą rozwarła się wielka, czarna jama przepaścista. Owionął ich mroźny podmuch wiatru; czuła, że coś ciągnie ją za suknię.

— Spiesz się spiesz! — zawołał duch — gdyż będzie za późno! — i w tej samej chwili lamperja dębowa zawarła się za nimi, a Komnata Gobelinowa opustoszała.

VI.

W jakie dziesięć minut potem rozległ się dźwięk gongu, wzywającego na herbatę poobiednią. Widząc, że Wirginja nie schodzi na dół, posłała p. Otisowa po nią jednego z pokojowców. Po chwili wrócił on, oznajmiając, że nie może znaleźć nigdzie miss Wirginji.

Nieobecność córki nie przeraziła na razie pani Otisowej, znając jej zwyczaj schodzenia co wieczór do ogrodu po kwiaty, którei własnoręcznie przystrajała stół w jadalni. Kiedy jednak wybiła szósta, a Wirginji wciąż jeszcze nie było, zaniepokoiła się matka i posłała chłopców na poszukiwanie dziewczynki do ogrodu, sama zaś obeszła w towarzystwie męża wszystkie pokoje pałacu. Po pół godziny powrócili chłopcy z oznajmieniem, że nigdzie znaleźć nie mogli śladu Wirginji. Wiadomość ta przeraziła wszystkich; nie wiedzieli też, co mają począć, kiedy nagle pan Otis przypomniał sobie, że przed kilku dniami pozwolił obozowi cyganów rozłożyć tabor w pałacowym parku. Natychmiast też

wyruszył w kierunku obozu, wraz z najstarszym synem i dwoma służącymi. Oszałały z trwogi młodzieńki książę błagał, aby go zabrano, spotkał się jednak ze stanowczą odmową p. Otisa, obawiającego się awantury. Przybywszy na miejsce, przekonali się jednak, że cyganie nie tylko poszli w dalszą drogę, ale że zwłnięcie obozu musiało odbyć się nagle, nie zdążyli bowiem nawet jeszcze zgasić ogniska, a resztki jedzenia pozostawili na murawie. Poleciwszy Waszyngtonowi i służącym, aby dobrze przetrząsnęli całą okolicę, powrócił sam do pałacu i wystosował szereg depech do wszystkich komisarzy policji w hrabstwie, polecając im dać baczenie, czy nie natrafia na ślad młodego dziewczątka, porwanego przez cyganów lub innych włóczęgów. Kazał sobie też zaraz osiodłać konia i zmusiwszy żonę i trzech chłopców, aby zasiedli do obiadu, popędził w towarzystwie stajennego do pobliskiego Ascot-Road. Zaledwie jednak ujechali kilka staj, kiedy usłyszał tętent galopującego za nimi konia, i wnet potem dostrzegł młodego księcia, pędzącego naoslep z gołą głową i płonącymi policzkami.

— Przepraszam pana bardzo, panie Otis — wyjąkał zdyszany chłopiec — ale nie mogę jeść obiadu, dopóki nie wiem co się dzieje z Wirginją. Niech się pan na mnie nie gniewa; gdyby pan był pozwolił nam zaręczyć się w zeszłym roku, nie byłoby całej tej historii. Niech mnie pan nie odsyła

zpowrotem — proszę pana! Nie mogę wrócić! Nie chcę wrócić!

Na widok ślicznego młodego narwańca nie mógł się minister powstrzymać od śmiechu, a miłość chłopca dla Wirginji tak go wzruszyła, że, pochylając się z konia, poklepał go serdecznie po ramieniu i rzekł:

— Niech i tak będzie, Cecylu; skoro nie chcesz wrócić, pojedziesz chyba ze mną. Będę zmuszony kupić ci w Ascot kapelusze.

— O, mniejsza o kapelusze! Chcę mieć Wirginję! — zawołał chłopiec ze śmiechem, poczem popędzili obaj ku stacji kolejowej, gdzie pan Otis wybadał przedewszystkiem zawiadowcę, czy nie widział młodego dziewczątka, odpowiadającego rysopisowi Wirginji. Wobec przeczącej odpowiedzi zawiadowcy, który przyobiecał jednakże zatelegrafować po całej linji, aby obserwowano wszystkich przejeżdżających, nie pozostało panu Otisowi nic innego do zrobienia, jak, po kupieniu kapelusza dla młodego książątka, pogalopować z nim razem do Bexley, wioski oddalonej od stacji o 4 mile angielskie, która jak mu mówiono, miała być znanym punktem zbornym cyganów, ze względu na wielkie przyległe do niej pastwisko. Przybywszy na miejsce, odszukali wioskowego policjanta, który nic im jednakże nie umiał powiedzieć. Objechawszy tedy całe pastwisko, zawrócili ku domowi i około 11-ej stanęli u wrót pałacu, śmiertelnie znużeni i zrozpaczeni bezowocnością poszukiwań. Waszyngton i bliż-

niaki czekali na nich przy bramie z latarniami, gdyż aleja, wiodąca do pałacu, była bardzo ciemna. Niepodobna było natrafić na ślad Wirginji. Dopędzono tabor cygański na łąkach Broklejskich, ale Wirginji w nim nie było. Zapytani o powód nagłego zwinienia obozu, wytłumaczyli się cyganie tem, że, otrzymawszy wiadomość o wcześniejszem otwarciu jarmarku w Chorton, odjechali spiesznie, aby nie przybyć za późno. Wiadomość o zniknięciu Wirginji zmartwiła ich szczerze, bardzo bowiem wdzięczni byli panu Otisowi za pozwolenie rozłożenia obozu w parku. Ofiarowali się też, że kilku z nich pozostanie, aby dopomóc w poszukiwaniach. Zgruntowano staw, przetrząsnęto całą posiadłość, ale wszystko nadaremnie. Nie ulegało już wątpliwości, że na tę noc przynajmniej Wirginja pozostanie stracona dla nich. Nic dziwnego więc, że pan Otis i chłopcy, za którymi stajenny prowadził konie, poszli ku domowi w stanie najgłębszego przygnębienia. W hallu zastali bezradną gromadę wystraszonej służby, a na kanapie w bibliotece leżała biedna pani Otisowa, nieprzytomna niemal z przerażenia i niepokoju. Obok niej uwijała się stara gospodyni, nacierająca skronie swej chlebobawczyni wodą kolońską. Pan Otis wymógł na żonie, aby coś zjadła i wydał rozkaz podania dla wszystkich kolacji. Posłuszna mu rodzina zasiadła do stołu, była to jednak biesiada nader melancholijna; nikt nie przemówił ani słowa, a nawet bliźnięta siedziały zgnębione i przejęte grozą, bardzo bowiem kochały siostrę. Po skończonej

wieczery polecił pan Otis wszystkim — bez względu na błagania młodego książątka — udać się na spoczynek, oświadczając, że nazajutrz z rana zatelegrafuje do biura policji londyńskiej z żądaniem natychmiastowego przysłania kilku detektywów.

W chwili kiedy wychodzili z sali jadalnej, zegar wieżowy wybijać zaczął dwunastą. Równocześnie z ostatniem uderzeniem rozległ się głośny łoskot i ostry krzyk; straszliwy huk grzmotu wstrząsnął domem, nadziejska jakaś melodia zabrzmiała w powietrzu, jedna z płyt górnego podestu klatki schodowej wypadła z hałaśliwym brzękiem i w obramowaniu drzwi ukazała się Wirginja, blada jak płótno i mająca w ręku małą szkatułkę. Wszyscy rzucili się na jej spotkanie. Pani Otisowa pierwsza porwała ją namiętnie w objęcia, książątko zaczęło dusić ją w uściskach, a bliźnięta puściły się w dziwie płasy dokoła tej grupy.

— Na Boga, dziecko, gdzie byłaś? — zawołał pan Otis nieco gniewnie, w przypuszczeniu, że dziewczynka pozwoliła sobie na niemądry jakiś żart — Cecyl i ja objechaliśmy całą okolicę w pogoni za tobą, a matka śmiertelnie była zaniepokojona. Nie powinnaś nigdy więcej żartować w ten sposób.

— Kochanie moje! Bogu dzięki, żeśmy cię odnaleźli; nigdy już nie odchodź odemnie! — szeptała pani Otisowa, całując drżąca dziewczynkę i głaszcząc zwichrzone złote jej loki.

— Papo... — przemówiła Wirginja spokojnie — byłam przy Duchu. Umarł on; musisz pójść ze mną,

aby go zobaczyć. Postępował niegodziwie, to prawda, ale potem żałował bardzo wszystkiego, co zrobił i przed śmiercią dał mi tę szkatułkę ze ślicznymi klejnotami.

Cała rodzina wytrzeszczyła na nią oczy w niemem zdumieniu. Niezrażona tem, poważna i spokojna, pokazała im przez otwór w buazerji ściennej drogę do wąskiego, ukrytego korytarza. Za nią poszedł Waszyngton, niosąc lichtarz z zapaloną świecą, który zabrał ze stołu. Po przejściu korytarza doszli do wielkich dębowych drzwi, nabijanych zardzewiałymi gwoździami. Z chwilą gdy Wirginja dotknęła ich, same rozsunęły się na ciężkich zawiasach, ukazując przybyłym niewielką, niską izbę o sklepionym suficie i jednym małym zakratowanym oknie. Do wielkiego, żelaznego, wbitego w ścianę pierścienia przyczepiony był na łańcuchu wyschły kościotrup, wyciągnięty w całej długości na kamiennej posadzce. Długimi swojemi, sztywnymi palcami zdawał się sięgać po staroświecką misę i dzban, postawione jakgdyby naumyślnie zbyt daleko od niego. Dzban był widocznie napełniony niegdyś wodą, bowiem na dnie jego osiadła zielona pleśń. We wnętrzu misy widniała kupka pyłu. Wirginja uklękła obok kościotrupa i, złożwszy drobne dłonie, zaczęła modlić się w milczeniu. Reszta przybyłej z nią rodziny przypatrywała się ze zdumieniem straszliwej tragedji, której tajniki odsłoniły się przed nią teraz.

— Patrzcie! — zawołały nagle bliźniaki, które

wyrzały przez okno, aby przekonać się, w którym skrzydle pałacu położona była izba.

— Patrzcie! Zakwitło stare, suche drzewo migdałowe. Księżyc oświetla wyraźnie kwiaty...

— Bóg mu przebaczył — rzekła Wirginja uroczyście, podnosząc się z klęczek. Nadziemskie jakieś światło zdawało się opromieniać jej twarz.

— Pani jest aniołem! — zawołało ksiązątko obejmując ją za szyję i całując

VII.

W cztery dni po ciekawych tych wydarzeniach wyruszył o jedenastej w nocy orszak pogrzebowy z pałacu Kenterwilskiego. Osiem czarnych koni, których łby strojne były w pęki zwisających strusich piór, ciągnęły karawan. Ustawioną na nim ołowianą trumnę okrywał bogaty purpurowy całun, na którym wyhaftowany był złotogłowiem herb Kenterwistów. Obok karawanu i powozów kroczyła służba z zapalonemi latarniami, co wszystko razem składało się na obraz wysoce nastrojowy. W pierwszej karecie za karawanem jechał w towarzystwie Wirginji lord Kenterwil, który specjalnie przybył na tę uroczystość z Walji. W następnej siedział minister Stanów Zjednoczonych z małżonką, za niemi Waszyngton i trzej chłopcy, i wreszcie w ostatnim pojeździe pani Umney, postanowiono bowiem, że osobie, którą duch trwożył przez przeszło pięćdziesiąt lat jej życia, przysługuje prawo odprowadzenia go na wieczny spoczynek. Wykopano głęboką mogiłę w rogu cmentarza, pod wielkiem drzewem cisowem.

Wielebny Augustus Dampier odprawił modły uroczyste, a, po ukończonej ceremonji, służba, zgodnie z dawną tradycją, przechowywaną w rodzie Kenterwilów, zgasła pochodnie. Kiedy spuszczano trumnę do dołu, Wirginja pochyliła się, składając na niej duży krzyż, uwity z różowych kwiatów migdału. W tej samej chwili wyrzał z za chmur księżyc, oblewając cały cmentarz srebrzystym światłem i równocześnie zabrzmiał z dalekiego kurhanu śpiew słowika. Przypomniało jej to opis ogrodu śmierci, uczyniony przez Ducha, łzy zaperliły się na jej rzęsach i przez całą powrotną drogę nie wymówiła ani słowa.

Następnego ranka, przed odjazdem lorda Kenterwila do miasta, prosił go pan Otis o chwilę rozmowy w sprawie klejnotów, które Duch obdarzył Wirginję. Były one wspaniałe, zwłaszcza naszyjnik z rubinów w starożytniej weneckiej oprawie, stanowiący przepyszny okaz roboty szesnastego stulecia. Wartość ich była tak wielka, że pan Otis miał poważne skrupuły co do udzielenia córce pozwolenia na przyjęcie ich.

— Milordzie — rzekł — wiem, że w tym kraju prawo dziedziczenia rozciąga się zarówno na kosztowności, jak i na ziemię, jasnym jest też dla mnie, że klejnoty te są, lub też powinny być, dziedziczne w pańskim rodzie. Dlatego też proszę pana, abys zechciał zabrać je ze sobą do Londynu, uważając je za część pańskiej własności, która została zwróconą panu w niezwykłych nieco warunkach. Co się ty-

czy córki mojej, jest ona jeszcze dzieckiem i niewiele, jak dotychczas — z zadowoleniem mogę to zaznaczyć — zdradzała zamiłowania do podobnych ozdób. Wiem też od małżonki mojej, która niebyle jaką jest znawczynią w rzeczach sztuki, gdyż spędziła kilka zim w Bostonie za czasów panieńskich, że klejnoty te przedstawiają olbrzymią wartość pieniężną i mogłyby, gdyby chciano wystawić je na sprzedaż, bardzo wysoką osiągnąć cenę. W tych warunkach, zrozumie pan, milordzie, że nie mógłbym pozwolić, aby pozostały one własnością któregośkolwiek z członków mojej rodziny. Zresztą świadła podobne, jakkolwiek odpowiednie i niezbędne dla godności angielskiej arystokracji, byłyby zupełnie nie na miejscu jako strój ludzi, wychowanych w surowych i nieśmiertelnych, wierzę w to, zasadach prostoty republikańskiej. Muszę jedynie dodać, że Wirginja pragnęłaby bardzo, aby pan pozwolił jej zatrzymać szkatułkę, jako pamiątkę po nieszczęsnym, zbłąkanym przodku pańskim. Jest to rzecz tak stara i tem samem zniszczona, że może nie będzie pan miał nic przeciwko przychyleniu się do jej prośby. Co się mnie tyczy, wyznam, że zdumiony jestem wielce, iż jedno z moich dzieci czuje szczególną skłonność do średniowieczyny w jakiegokolwiek postaci, co jedynie przypisać mogę faktowi, iż Wirginja urodziła się na jednym z waszych przedmieść londyńskich, wkrótce po powrocie żony mojej z wycieczki do Aten.

Lord Kenterwil wysłuchał z uwagą mowy godnego ministra, skubiąc od czasu do czasu siwy wąs, aby ukryć mimowolny uśmiech, a kiedy pan Otis skończył, uścisnął serdecznie dłoń jego i rzekł: — Drogi panie, pańska czarująca córeczka oddała wielką przysługę nieszczęsnemu mojemu przodkowi; zarówno więc ja, jak i cała moja rodzina, bardzo jesteśmy jej zobowiązani za podziwu godną odwagę i powodzenie. Klejnoty są oczywiście jej wyłączną własnością i doprawdy, gdybym tak mało okazał serca i chciał je odebrać jej, wylazłby stary niegodziwiec po dwóch tygodniach z grobu i zatrulby mi życie. Co zaś do pańskiego twierdzenia, że stanowią one część dziedzictwa, muszę panu powiedzieć, że wszystko, co nie jest wzmiankowane w ostatniej woli lub w innym legalnym dokumencie, nie wchodzi w skład dziedzictwa, zaś o istnieniu tych klejnotów nic nie było wiadomo. Zapewniam pana, że nie mam do nich więcej prawa niż pański kamerdyner. Pewien też jestem, że panna Wirginja ucieszy się, gdy dorośnie, iż nosić będzie mogła tak piękne ozdoby. Muszę panu zresztą przypomnieć iż nabył pan umeblowanie i Ducha w cenie kupna wszystko więc, co było własnością Ducha, przeszło od razu w pańskie posiadanie. Bez względu bowiem na działalność, jaką sir Simon mógł rozwijać po nocy w korytarzach, był on nieboszczykiem z punktu widzenia prawa, a pan, panie Otis, nabyłeś własność jego w drodze kupna.

Odmowa lorda Kenterwila zasmuciła wielce

pana Otisa, który prosił go, aby cofnął swoje postanowienie, ale dobroduszny lord nie ustąpił i zmusił wkońcu ministra, aby pozwolił córce zatrzymać dar Ducha.

A kiedy na wiosnę 1890 roku młoda księżna Cheshire przedstawiona została królowej z okazji swojego zamążpójścia, klejnoty jej były przedmiotem powszechnego podziwu. Wirginja zyskała koronę księżęcą, którą nagradzane są wszystkie dobre amerykańskie dziewczątka i poślubiła swojego młodziutkiego amanta z chwilą dojścia jego do pełnoletności.

Oboje byli tak czarujący i tak wzajem w sobie zakochani, że wszyscy zachwyceni byli tem małżeństwem, z wyjątkiem jedynie starej markizy Dumbleton, która usiłowała złapać księcia dla jednej z siedmiu niezamężnych swoich córek i wydała w tym celu trzy kosztowne obiady, a także — rzecz dziwna — z wyjątkiem samego pana Otisa. Lubił on osobiście bardzo młodego księcia, ale w teorii nie uznawał tytułów i, wedle własnych jego słów, żywił pewną obawę, aby zdrowe zasady prostoty republikańskiej nie zostały zapomniane pod denerwującymi wpływami goniącej za zabawą arystokracji.

Wszelkie jednak obiekcje jego zostały pokonane i nie ulega wątpliwości, że kiedy wchodził do nawy kościoła Ś-go Jerzego z córką, opartą na jego ramieniu, nie było na całym obszarze Anglii, jak długa i szeroka, dumniejszego od niego człowieka.

Gdy miesiąc miodowy skończył się, książę i księżna udali się do Kenterwilu. Nazajutrz po przybyciu poszli po południu na samotny cmentarz za lasem sosnowym. Zrazu dużo było trudności z napisem na kamieniu grobowym sir Simone, wkońcu jednak postanowiono wyryć poprostu pierwsze litery jego imienia i nazwiska oraz sześciowersz z okna biblioteki. Księżna przyniosła pęk ślicznych róż i obsypała nimi grób, przy którym oboje pozostali przez chwilę w skupieniu, poczem odeszli ku ruinom dawnego opactwa. Tutaj księżna usiadła na przewróconym filarze, zaś mąż jej rozłożył się na trawie u jej stóp, paląc papierosy i patrząc w jej piękne oczy. Po chwili odrzucił papierosa, ujął ją za rękę i rzekł:

— Wirginjo, żona nie powinna mieć tajemnic przed mężem.

— Nie mam przed tobą żadnych tajemnic, najdroższy.

— Masz — odparł książę z uśmiechem — nie opowiedziałas mi, co zaszło, kiedy byłaś zamknięta z Duchem.

— Nikomu o tem nie opowiedziałam — odrzekła Wirginja poważnie.

— Wiem, ale mnie mogłabyś powiedzieć.

— Proszę cię, drogi mój, nie pytaj mnie. Nie mogę opowiedzieć. Biedny sir Simon! Dużo mu zawdzięczam. Tak, nie śmieję się, Cecylu, tak jest istotnie. Nauczył mnie, czem jest Życie i co znaczy

Śmierć, i dlaczego Miłość silniejsza jest od Śmierci
i Życia.

Księżę wstał i ucałował gorąco żonę.

— Możesz zachować twoją tajemnicę dopóty,
dopóki ja zachowam twoje serce — szepnął.

— Posiadasz je na zawsze.

— Ale opowiesz kiedyś naszym dzieciom —
prawda?

Wirginja zarumieniła się

57

MODELOWY MILJONER

PROCESSES OF THE

O ile się jest bogatym, niema potrzeby być czarującym chłopcem. Romanse są przywilejem bogaczy, a nie zawodem bezrobotnych. Biedni powinni być prozaiczni i praktyczni. Lepiej jest mieć stały dochód, aniżeli być zachwycającym... Ze wszystkich tych wielkich prawd współczesnego życia nie zdawał sobie Hugon Erskine dostatecznie sprawy. Biedny Hugon! Pod względem umysłowym nie stał on, przyznać należy, zbyt wysoko. Nie powiedział nigdy w życiu ani jednego świetnego dowcipu, ani nawet ani jednej szczególnej złośliwości. Był natomiast prześliczny ze swoją ciemną, falującą czupryną, z wyrzeźbionym, niby ręką mistrza, profilem i szarymi oczami. Powszechnie był lubiany, tyleż przez kobiety, ile przez mężczyzn, posiadał też wszystkie talenty, z wyjątkiem talentu robienia pieniędzy. Ojciec pozostawił mu w spadku szablę kawaleryjską oraz Historję Wojny Półwyspu w piętnastu tomach. Hugon powiesił szablę nad lustrem, a książki ustawił na półce, pomiędzy przewodnikami i staremi, ilustrowanemi miesięcznikami, i zaczął z dwustu funtów rocznie, które dostawał od

starej ciotki. Próbował wszystkiego. Chodził przez sześć miesięcy na giełde; czy było wszakże miejsce dla motyla między bykami i niedźwiedziami? Handlował przez nieco dłuższy czas herbatą, wkońcu jednak sprzykrzyły mu się souchong'i i pekoen'y. Potem próbował sprzedawać sherry dry, ale to mu się wcale już nie udawało, bo wino było nieco za suche. Wreszcie został niczem; przemiłym, nic nie robiącym młodzieńcem, o nieskazitelnym profilu i bez żadnego zajęcia.

Nadomiar złego był zakochany. Wybranką jego serca była Laura Merton, córka dymisjonowanego pułkownika, który stargał nerwy i zrujnował żołądek w Indjach i nigdy już nie mógł doprowadzić ani pierwszych, ani drugiego do normalnego stanu. Laura ubóstwiała Hugona, zaś Hugon gotów był całować sznurowadła jej bucików. Oboje stanowili najpiękniejszą parę w Londynie i nie mieli grosza przy duszy. Pułkownik bardzo lubił Hugona, ale ani słyszeć chciał o zaręczynach.

— Przyjdź oświadczyć się o rękę Laury, jak będziesz miał dziesięć tysięcy funtów na własność, a wtedy pogadamy — powtarzał.

Biedny Hugo spuszczał więc nos na kwintę i szedł na pocieszenie do Laury.

Pewnego dnia, idąc do Mertonów, wstąpił na chwilę do serdecznego swojego przyjaciela, Alana Trevora, który był malarzem. Być malarzem — to rzecz, której mało kto potrafi uniknąć w obecnych czasach. Ale Trevor był zarazem artystą, co już jest

znacznie rzadsze. Był dziwakiem, nieco szorstkim, o piegowatej twarzy i rudej, postrzępionej bródce. Natomiast kiedy chwycił za pędzel, był prawdziwym mistrzem, a obrazy jego niezmiernie były poszukiwane. Hugon pociągnął go narazie wyłącznie ze wewnętrznym swoim czarem.

— Jedynymi ludźmi, z którymi malarz powinien byłby się znać — zwykł był mawiać — są piękni głupcy, zatem ludzie, na których patrzenie jest rozkoszą dla oka, a mówienie z którymi — wypoczynkiem dla umysłu. Mężczyźni-dandysi i kobiety-ślicznotki rządzą światem, powinnyby przynajmniej nim rządzić.

Jednakże, poznawszy Hugona bliżej, polubił go także za jego żywy, wesoły humor oraz za jego szlachetną, niefrasobliwą naturę i upoważnił go do stałego bywania w swojej pracowni.

Wszedłszy tym razem, zastał Trevora, wykończającego ostatnimi dotknięciami pędzla przepyszne, naturalnej wielkości, studjum żebraka. Pozujący do obrazu model stał na specjalnie urządzonej platformie w kącie pracowni. Był to zwiędły, zasuszony staruszek o twarzy, przypominającej żółkły, porcurzony pergamin i mający niezmiernie smutny, wzbudzający litość, wyraz. Na ramiona miał zarzucony szorstki, brunatny płaszcz, cały w łachmanach i strzępach; grube jego buty były połatanne i pocierane, jedną ręką opierał się o sękaty kosztur, zaś drugą wyciągał stary, połamany kapelusz po jałmużnę.

— Jaki zdumiewający model! — szepnął Hugon, ściskając rękę przyjaciela.

— Zdumiewający model! — powtórzył Trevor donośnym głosem — rozumie się! Tacy żebracy, jak on, nie rodzą się na kamieniu. Une trouvaille, mon cher; żywy Velasquez! Na Jowisza, co za rysunek zrobiłby z niego Rembrandt!

— Biedny staruszek! — rzekł Hugon — jak nędznie wygląda. Ale dla was, malarzy, znaleźć taką twarz — to wygrać los na loterji.

— Naturalnie — odparł Trevor — chciałbyś może, żeby żebrak miał zadowoloną minę?

— Ile zarabia model za pozowanie? — zapytał Hugon, rozpierając się wygodnie na kanapie.

— Szylinga za godzinę.

— A ile dostajesz za obraz, Alanie?

— Za ten? — dwa tysiące!

— Funtów?

— Gwinei. Malarzom, poetom i doktorom płaci się honorarja zawsze gwinejami.

— Modelom powinien chyba należeć się procent! — zawołał Hugon ze śmiechem; — pracują oni tak samo ciężko, jak ty.

— Głupstwa gadasz, mój drogi! Przypatrz się, ile jest męki przy samem nakładaniu farb... A to stanie przez cały dzień przy stalugach! Bardzo łatwo tak mówić, ale możesz mi wierzyć, że są chwile, kiedy sztuka dorasta niemal do godności pracy fizycznej. Ale dość tego gadania; jestem bardzo zajęty. Pal papierosa i siedź cicho.

Po chwili wszedł służący, oznajmiając Trevorowi, że ramiarz chce się z nim rozmówić.

— Nie uciekaj, Hugonie — rzekł, wychodząc — wróć za chwilę.

Stary żebrak skorzystał z nieobecności malarza, aby wypocząć przez chwilę na drewnianym zdyżu, który stał za nim. Wyglądał tak mizernie i nędznie, że Hugon, nie mogąc opanować uczucia litości, sięgnął do kieszeni po pieniądze. Nie znalazł jednak nic więcej, prócz suwerena i kilku miedzaków. Biedny staruszek! — pomyślał — suweren więcej mu jeszcze przyda się niż mnie. Ostatecznie, obejdę się bez dołożki przez dwa tygodnie. — Szybko zdecydował się i, przeszedłszy przez pokój, wsunął żebrakowi do ręki złoty pieniądz.

Obdarzony zerwał się; przelotny uśmiech okolił zwiędłe jego wargi.

— Dziękuję panu — rzekł — dziękuję.

W tej samej chwili powrócił Trevor i Hugon szybko się pożegnał, nieco zażenowany tem, co zrobił.

Resztę dnia spędził w towarzystwie Laury, przez którą został rozkosznie połajany za rozrzutność i musiał wrócić piechotą do domu.

Po drodze zaszedł około 11-ej do Klubu Palety, gdzie zastał Trevora, siedzącego samotnie w palarni przy szklance grogu.

— No, cóż, Alanie, czy obraz twój skończony? — zapytał, zapalając papierosa.

— Skończony i oprawiony, mój chłopcze! — odparł. — Ale, ale, zrobiłeś konkiętę. Ten stary mój model poprostu zakochał się w tobie. Musiałem mu opowiedzieć wszystko: kim jesteś, gdzie mieszkasz, ile masz dochodu, jakie widoki na przyszłość...

— Pewnie będzie czekał na mnie, jak wrócę do domu. Ale żartujesz, rozumie się. Biedny starszek! Chciałbym móc zrobić coś dla niego. To straszne, że są na świecie tacy nieszczęśliwi nędzarze. Mam moc starego ubrania w domu — jak sądzisz, czy mogłoby mu się coś z tego przydać? Jego łachmany spadają wprost z niego.

— Ależ on w nich wspaniale wygląda — rzekł malarz. — Nie malowałbym go za nic w świecie we fraku. To, co ty nazywasz łachmanami, jest dla mnie najbardziej malowniczym strojem. Co dla ciebie jest symbolem nędzy, jest dla mnie rzeczą najbardziej artystyczną. Zresztą powiem mu o twojej propozycji.

— Alanie — rzekł Hugon poważnie — wy, malarze, jesteście bez serca.

— Serce artysty — to jego głowa; — odparł Trevor — a zresztą, naszą rzeczą jest oddawać świat takim, jakim go widzimy, a nie przeistaczać go, jak uważalibyśmy za potrzebne. *A chacun son metier*. No, a teraz opowiedz mi coś o Laurze. Stary model bardzo się nią zainteresował.

— Jakto?! chyba nie mówiłeś z nim o niej?! — zawołał Hugon.

— Naturalnie, że mówiłem. Opowiedziałem mu wszystko: o upartym pułkowniku, o pięknej Larze, o 10.000 funtów.

— Czy być może? Wtajemniczyłeś starego żebraka w moje prywatne sprawy? — zaperzył się Hugon, ponsowy z gniewu i oburzenia.

— Drogi Hugonku! — rzekł Trevor ze śmiechem. — Ten stary żebrak, jak go nazywasz, jest jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Mógłby kupić jutro cały Londyn, nie nadwyrężając swojej kasy. Ma pałace we wszystkich stolicach, jada na złocie i od niego zależy, czy Rosja może przystąpić do wojny, czy nie.

— Na Boga, co mówisz, Alanie?! — zawołał Hugon.

— To, co słyszysz — odparł spokojnie Trevor. — Staruszek, którego widziałeś dzisiaj u mnie w pracowni, to baron Hausberg. Jest on wielkim moim przyjacielem, skupuje wszystkie moje obrazy, popiera mnie, jak może, a przed miesiącem zamówił sobie u mnie portret w przebraniu żebraka. *Que voulez-vous? La fantaisie d'un millionnaire.* Trzeba przyznać, że wspaniale wygląda w tych swoich łachmanach, a raczej w moich łachmanach, przywiozłem je bowiem z Hiszpanji.

— Baron Hausberg! — zawołał Hugon. — Ależ na Boga! I ja, idjota, dałem mu suwerena!...—i upadł złamany na fotel.

— Dałeś mu suwerena! — zatrząsł się malarz
Duch w zamku 5

od śmiechu. — Nigdy już więcej nie zobaczysz tych pieniędzy. *Son affaire c'est l'argent des autres.*

— Powinien byłeś mnie uprzedzić, Allanie — rzekł Hugon z wyrzutem — i nie robić ze mnie błazna.

— Mój drogi — bronił się Trevor — nie mogło mi wpaść na myśl, że rozdajesz jałmużnę w taki nieopatrny sposób. Zrozumiałbym prędzej, że przyjdzie ci ochota pocałować ładną, młodą modelkę, ale dawać suwerena staremu, brzydkiemu dziadowi — nie, to paradne! — Zresztą faktem jest, że nie kazałem nikogo przyjmować, a kiedy przyszedłeś, nie wiedziałem, czy Hausberg życzy sobie, aby wyjawić jego nazwisko. Nie był w odpowiednim stroju jak ci wiadomo.

— Za jakiego osła musi mnie mieć! — zawołał Hugon.

— Wcale nie. Był w doskonałym humorze po twojem odejściu; uśmiechał się wciąż do samego siebie i pocierał z zadowoleniem stare, pomarszczone ręce. Nie rozumiałem, dlaczego tak ciekawie wypytuje się o ciebie; teraz rozumiem wszystko. Pewnie zachowa tego suwerena na twój rachunek, będzie ci wypłacał procent co pół roku, i będzie miał świetną historyjkę do opowiadania po obiedzie.

— Stanowczo, nieuleczalny ze mnie głupiec — jęknął Hugon. — No, niema co, trzeba iść spać. Proszę cię tylko, Allanie, nie opowiadaj nikomu o moim błamażu. Nie śmiałybym spojrzeć ludziom w oczy.

— Głupi jesteś! Wszakże-ż to najlepsze świadectwo twoich uczuć filantropijnych. Nie uciekaj. Wypal jeszcze jednego papierosa i opowiadaj mi o Laurze, ile chcesz.

Pomimo tej kuszącej zachęty, nie dał się Hugon zatrzymać i poszedł do domu ogromnie zmartwiony, pozostawiając malarza, śmiejącego się do rozpuku.

Następnego dnia siedział przy śniadaniu kiedy służący przyniósł mu bilet wizytowy z napisem:— „Gustaw Naudin, w imieniu pana barona Hausberga“.

— Pewnie przychodzi żądać satysfakcji — pomyślał i kazał poprosić gościa do pokoju.

Po chwili wszedł starszy, siwy pan w złotych okularach i zapytał cudzoziemskim nieco akcentem:

— Czy mam przyjemność mówić z panem Erskinem?

Hugon skłonił się potakująco.

— Przychodzę w imieniu pana barona Hausberga — dodał przybyły... — pan baron...

— Proszę zapewnić pana barona, że niezmiernie mi jest przykro — wyjąkał Hugon.

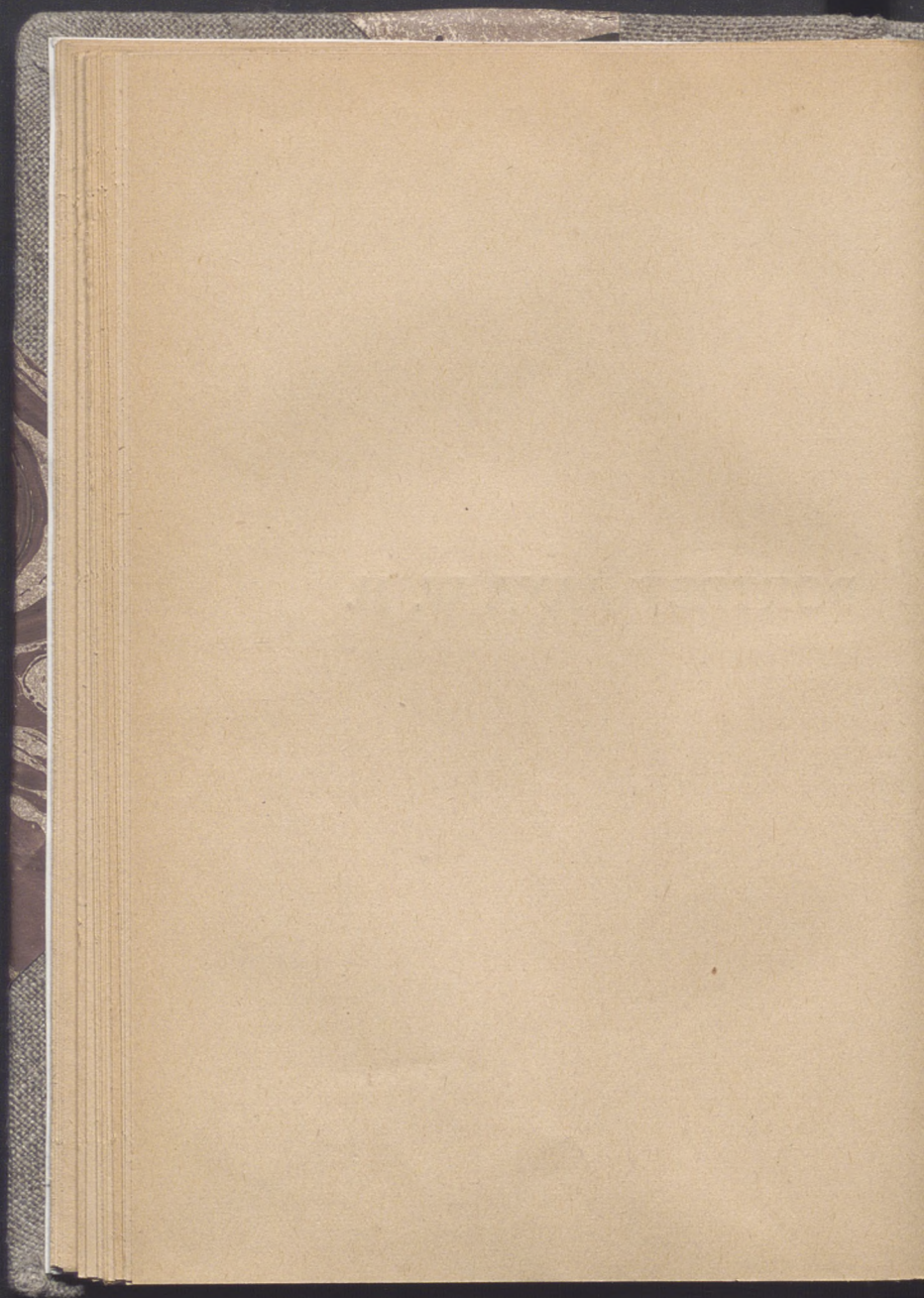
— Pan baron — dokończył stary pan z uśmiechem — polecił mi wręczyć panu ten list. — Mówiąc to, podał Hugonowi zapieczętowaną kopertę. Nosiła ona na zewnętrznej stronie napis: „Ślubny prezent dla Hugona Erskina i Laury Merton od starego żebraka“.

Wewnątrz był czek na 10 tysięcy funtów.

Na ślubie młodej pary był Alan Trevor drużbą,
a baron wygłosił toast podczas uczyty weselnej.

— Miljonowi modele — powiedział Alan — są
wielką rzadkością, ale, na Jowisza, stokroć większą
jeszcze modelowi miljonerzy.

PORTRET PANA W. H.



Po obiedzie, na który zaprosił mnie⁷ Erskine do małego swego przytulnego domku w Birdcage Walk, siedzieliśmy w jego bibliotece przy czarnej kawie i papierosach, kiedy niespodzianie rozmowa nasza weszła na tory oszustw literackich. Nie przypominam sobie, w jaki sposób wpadliśmy na ciekawy ten w owym czasie temat, ale pamiętam, że przeprowadziliśmy długą dyskusję o Macphersonie, Irlandji i Chattertonie i że — w stosunku do tego ostatniego — dowodziłem z całą stanowczością, iż rzekome jego oszustwa były jedynie wynikiem dążenia artysty do doskonałości oddania. Utrzymywałem też, że nie mamy prawa spierać się z artystą o warunki, w jakich podoba mu się przedstawić publiczności swoje dzieło.

Ostatecznie, wobec tego, iż wszelka sztuka jest do pewnego stopnia rodzajem aktorstwa, usiłowaniem przeniesienia własnej osobowości na wyimaginowaną jakąś płaszczyznę, poza linię krępujących powikłań i ograniczeń rzeczywistego życia — zarzu-

canie artyście oszustwa równa się nieodróżnianiu zagadnienia etycznego od estetycznego.

Erskine, który, będąc znacznie starszym ode mnie, słuchał mnie z uprzejmą pobłażliwością dojrzałego człowieka, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Co powiedziałby pan o młodym człowieku, który urobił sobie dziwną, zupełnie nową teorię o pewnem dziele sztuki, wierzył w nią i popełnił oszustwo, aby dowieść jej słuszności?

— O, to zupełnie co innego! — odparłem.

Erskine milczał przez kilka minut, patrząc na wąskie, szare pasemka dymu, snujące się z jego papierosa.

— Tak — rzekł — zupełnie co innego.

Było coś w brzmieniu jego głosu jakgdyby lekki cień gorczy, który pobudził moją ciekawość.

— Czy znał pan kogoś, kto to zrobił? — zwołałem.

— Tak! — odpowiedział, rzucając papierosa w ogień — zrobił to przyjaciel mój, Cyryl Graham. Był on czarującym młodzieńcem, nieco nerwowym i nie mającym serca. Mimo to, pozostawił mi jedynny spadek, jaki odziedziczyłem w mojem życiu.

— Jaki spadek? — zapytałem ciekawie.

Erskine wstał z fotela, podszedł do wysokiej inkrustowanej szafy, stojącej pomiędzy oknami, otworzył ją i po chwili powrócił do kominka, przy którym siedzieliśmy. W rękę trzymał niewielkich rozmiarów obraz, malowany na drzewie i oprawia-

ny w starą, nieco wytartą ramę w stylu elżbietańskim.

Obraz przedstawiał postać młodzieńca w stroju z końca XVI st., stojącego przy stole, z prawą ręką opartą na otwartej księdze. Zdawał się mieć około siedemnastu lat. Cechowała go niezwykła, jakkolwiek nieco zniewieściała, uroda. Istotnie, gdyby nie strój i krótko przystrzyżone włosy, możnaby było powiedzieć, że twarz jego, o marzących oczach i delikatnie wykrojonych, purpurowych wargach, była twarzą młodej dziewczyny. Sposobem malowania, a szczególnej traktowaniem rąk, przypominał obraz jedną z późniejszych prac Franciszka Cloueta. Czarny, aksamitny płaszczyk z fantastycznie złożonemi haftami oraz pawioy kolor tła, od którego tak korzystnie odcinała się postać, były zupełnie w stylu Cloueta, a dwie maski Tragedji i Komedji, zwisające, jakgdyby naumyślnie, z marmurowego piedestału, malowane były z ową surowością dotknięcia, tak różną od łatwego wdzięku sztuki włoskiej, której wielki mistrz flamandzki nie zatracił w zupełności nawet na dworze francuskim, i która sama przez się stanowiła charakterystyczną cechę północnego charakteru.

— Ależ to prześliczna rzecz! — zawołałem — któż to jest ten prześliczny młodzieniec, którego niezwykłą urodę sztuka przechowała dla nas tak szczęśliwie?

— To portret pana W. H.— odparł Erskine ze smutnym uśmiechem,

Może był to przypadkowy efekt światła, ale zdawało mi się, że w oczach jego zabłysły łzy.

— Pana W. H.? — zawołałem. — Któż to był ten pan W. H.?

— Nie pamięta pan?—odparł. — Proszę, spójrz pan na książkę, na której opiera on rękę.

— Widzę, że coś jest tutaj napisane, ale nie mogę odczytać — odparłem.

— Może za pomocą szkła powiększającego. Proszę, spróbuj pan — zaproponował mi Erskine z tym samym wciąż smutnym uśmiechem, igrającym dokoła jego ust.

Wziąłem szkło i, przysunąwszy nieco bliżej lampę, zacząłem odcyfrowywać pokrecone pismo z XVI st.: „Jedynemu twórcy zawartych tutaj sonetów!... — Na Boga! — krzyknąłem. — Czy to ma być szekspirowski pan W. H.?

— Tak utrzymywał Cyryl Graham — mruknął Erskine.

— Ależ on absolutnie niepodobny do lorda Pembroke*) — odparłem. — Znam dobrze portrety Pembroków. Dopiero przed kilku tygodniami przebywałem przez jakiś czas w sąsiedztwie ich zamku.

*) Tytuł hrabiów Pembroke, noszony przez romaite rody angielskie i pochodzący od miasta tej nazwy w południowej Walji, dostał się między innymi Wilhelmowi Hampstead, który w roku 1202 poślubił córkę Ryszarda Pembroke, stąd p. W. H.

— Czy naprawdę wierzy pan, że sonety były pisane do lorda Pembroke? — zapytał.

— Jestem tego pewien — odparłem. — Pembroke, Szekspir i Mary Fitton są trzema osobistościami Sonetów; to rzecz nieulegająca żadnej kwestji.

— I ja jestem tego zdania — rzekł Erskine — ale nie zawsze tak myślałem. Wierzyłem kiedyś — zdawało mi się przynajmniej, że wierzyłem w Cyryla Grahama i jego teorię.

— Jakaż to była teoria? — zapytałem, wpatrując się w cudowny portret, który zaczął już dziwny wywierać na mnie urok.

— Długa to historia — rzekł Erskine, odsuwając portret nieco szorstko, jak mi się wówczas zdawało — bardzo długa historia; jeśli jednak chciałby pan jej wysłuchać, chętnie opowiem.

— Lubię teorie, dotyczące sonetów — zawołałem — nie sądzę jednak, aby można mnie było nawrócić na nową jakąś ideę. Cała sprawa przestała już zupełnie być tajemnicą. Dziwię się doprawdy, że mogła nią być kiedykolwiek.

— Ponieważ sam nie wierzę w tę teorię, trudno przypuścić, abym mógł pana nawrócić na nią — rzekł Erskine ze śmiechem; — może ona jednak zainteresować pana.

— Ależ, rozumie się, opowiedz mi ją pan proszę — odparłem. — Jeśli jest choć w połowie tak piękna jak portret, będę niezmiernie zadowolony.

— Dobrze zatem — zgodził się Erskine, zapalając papierosa, — Muszę zacząć od zakomuniko-

wania panu bliższych szczegółów o Cyrylu Grahame. Mieszkaliśmy obaj w jednym i tym samym domu w Eton. Ja byłem o rok, czy dwa starszy od niego, mimo to jednak byliśmy najserdeczniejszymi przyjaciółmi, razem uczyliśmy się i razem oddawaliśmy się zabawom. Oczywiście, dużo więcej było zabawy niż pracy, nie mogę jednak powiedzieć, abym tego żałował. Zawsze dobrze jest nie otrzymać gruntownego wykształcenia handlowego. To, czego nauczyłem się na polu gier w Eton, tyleż dało mi pożytku, ile wszystko, czego mnie uczono w Cambridge... Muszę panu powiedzieć, że rodzice Cyryla odumarli go młodo. Utonęli podczas strasznego wypadku jachtowego w pobliżu wyspy Wight. Ojciec jego pozostawał na służbie dyplomatycznej i ożenił się z jedyną córką lorda Creditona, który, po śmierci rodziców Cyryla, został jego opiekunem. Nie zdaje mi się, aby dziadek dbał bardzo o wnuka, nigdy bowiem nie mógł wybaczyć córce, że poślubiła człowieka, nie mającego tytułu. Był to dziwny typ starego arystokraty, który klął jak dorożkarz i miał maniery chłopca. Przypominam sobie, że widziałem go pewnego razu w parlamencie. Warknął na mnie, dał mi suwerena i ostrzegł, abym nie wyrósł na „przekłętą radykała“, jak mój ojciec. Cyryl mało miał do niego przywiązania i cieszył się, ilekroć mógł spędzić wakację z nami w Szkocji. Dziadek i wnuk nigdy się z sobą nie zgadzali. Cyryl uważał dziadka za niedźwiedzia, a dziadek zarzucał Cyrylowi, że jest babą. Niewątpliwie był on zniewieścia-

ty pod niektórymi względami, mimo, że świetnie fechtował się i bardzo dobrze jeździł konno. Był jednak nadzwyczaj miękki w obejściu, bardzo próżny na punkcie swojej urody i miał stanowczy wstręt do piłki nożnej. Dwie jedynie rzeczy sprawiały mu przyjemność: poezja i teatr. W Eton przebierał się wciąż i recytował Szekspira, a kiedy przeszliśmy na wyższy kurs, został w pierwszym zaraz kwartale członkiem Akademickiego Klubu Deklamatorów. Byłem mu oddany bezgranicznie, kochałem go wprost nedorzecznie, zapewne dlatego, sądząc, że tak bardzo byliśmy różni.

Ja byłem niezdarłym, wątłym chłopcem o olbrzymich stopach i mnóstwie piegów na twarzy. Jak wiadomo piegi są również pospolite w rodzinach szkockich, jak podagra w angielskich. Cyryl mawiał zazwyczaj, że z dwojga złego woli podagrę, przywiązywał on śmiesznie wielką wagę do zewnętrznego wyglądu i pewnego razu odczytał na pełnym dyskusyjnym zgromadzeniu naszego Towarzystwa artykuł, dowodzący, że lepiej jest być pięknym, niż dobrym. On sam był istotnie zdumiewająco piękny. Ci, którzy go nie lubili: filistrzy, opiekunowie kolegjalni, oraz młodzi ludzie, kształcący się na teologów, uważali, że jest on zaledwie przystojny, w twarzy jego było jednak coś o wiele wyższego nad zwykłą urodę; mojem zdaniem, był on najczarowniejszą istotą, jaką widziałem kiedykolwiek. Wdzięk jego ruchów i czar jego obejścia były niedościgłe. Zachwycał każdego, kto wart był doznawania za-

chwyłu i bardzo wielu takich, którzy nie byli tego warci. Bywał często kapryśny i samowolny, uważałem go też za przeraźliwie nieszczerego. Wypływało to, jak sądzę, z nieokielzanej jego żądzы podobania się. Biedny Cyryl! Powiedziałem mu kiedyś, że zadawalnia się bardzo taniemi tryumfami. Wyśmiał mnie poprostu. Był strasznie zepsuty. Zdaje mi się, że wszyscy czarujący ludzie są zepsuci. Na tem polega cała tajemnica ich uroku.

Muszę jednak opowiedzieć panu o występach scenicznych Cyryla. Jak panu wiadomo, Akademickie Koło Dramatyczne nie dopuszcza aktorek. Tak przynajmniej było za moich czasów. Nie wiem jak jest teraz. Otóż, rozumie się, że Cyryl z góry był zawsze przeznaczony do ról dziewczęcych i w „*Jak wam się podoba?*“ był Rozalindą. Była to cudowna jego rola. Przyznać muszę, że Cyryl był jedyną bez zarzutu Rozalindą, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie kuszę się nawet opisać panu całego piękna, całego wdzięku, całej subtelnej wytworności tej postaci. Wywierał on też w roli tej olbrzymie wrażenie i ohydny wówczas, mały teatrzyk przepelniony był co wieczór po brzegi.

Jeszcze teraz, ilekroć odczytuję tę sztukę, staje mi żywo w pamięci postać Cyryla. Rzec niemal możnaby, że Szekspir napisał ją dla niego. W następnem półroczu otrzymał swój dyplom i przyjechał do Londynu, aby przygotować się tutaj do kariery dyplomatycznej. Nigdy jednak nic w tym kierunku nie zrobił. Dnie całe spędzał na czytaniu

szekspirowskich sonetów, wieczory zaś w teatrze. Pałał, naturalnie, chęcią wstąpienia na scenę. Wszelkie wysiłki lorda Creditona i moje tyle tylko dokonały, że nie pozwoliliśmy mu tego uczynić. Może, gdyby był wstąpił na scenę, żyłby dzisiaj jeszcze. Głupio jest zawsze dawać rady, ale dawać dobre rady — jest poprostu rzeczą fatalną. Mam nadzieję, że nie popełni pan nigdy tego błędu. Gdybyś pan to uczynił, żałowałbyś tego.

— Otóż, przystępując wreszcie do rzeczy, opowiem panu, że pewnego dnia otrzymałem od Cyryla list, w którym prosił mnie, abym zaszedł do niego tegoż wieczora. Miał w Piccadilly czarujące mieszkanie, którego okna wychodziły na Green Park. Bywałem u niego codziennie, nie mogłem więc zrozumieć celu pisania. Poszedłem, naturalnie, i zastałem go w stanie silnego podniecenia. Oznajmił mi, że wykrył wreszcie tajemnicę sonetów szekspirowskich, że wszyscy krytycy i badacze byli na fałszywej drodze i że on pierwszy, kierując się jedynie wewnętrznym przekonaniem, odkrył, kim właściwie był pan W. H.

Kompletnie zwarjowany był z radości i przez dłuższą chwilę nie chciał mi wyjawić swojej teorii. Wreszcie wyciągnął paczkę notatek, zdjął z półki tom sonetów, usiadł i zaczął mi wyjaśniać całą sprawę.

Przedewszystkiem zwrócił moją uwagę na to, że młodzieniec, do którego Szekspir pisał te dziwnie namiętne poematy, musiał być osobnikiem, stano-

więcym niezbędny, podstawowy czynnik w rozwoju jego sztuki dramatycznej, co nie mogło stosować się ani do lorda Pembroke, ani też do lorda Southamptona. Nie musiał też być to człowiek wysokiego urodzenia, jak o tem świadczy wyraźnie sonet 25-ty, w którym Szekspir, przeciwstawiając się tym, którzy są „ulubieńcami wysokich dostojników“, cieszy się, że osobnik, którego on ubóstwia, jest „człowiekiem skromnego stanu“.

Sonet ten byłby, zdaniem Cyryla, zupełnie niezrozumiałym, gdybyśmy chcieli wyobrazić sobie, iż zwrócony on jest do lorda Pembroke lub do hrabiego Southamptona, bowiem jeden i drugi zajmowali najwyższe w Anglii stanowiska i obu w zupełności należał się tytuł „wysokich dostojników“.

Rozwijając w dalszym ciągu swoją teorię, przeczytał mi sonety: 74-ty i 125 ty, w których Szekspir mówi nam, że jego miłość nie jest „dzieckiem parady“, że „nie udrećca jej uśmiechnięty przepych“, lecz, że „powstała ona wcale nie przygodnie“.

Słuchałem z wielkiem zainteresowaniem, nikt bowiem dotychczas nie dotknął tego punktu. To wszakże, co nastąpiło, było jeszcze ciekawsze i w danej chwili wydawało mi się, że obala najzupełniej teorię co do lorda Pembroke. Wiemy, że sonety zostały napisane przed 1598 rokiem, zaś sonet 104 wskazuje wyraźnie, że przyjaźń Szekspira dla p. W. H. trwała już wówczas od trzech lat. Otóż lord Pembroke, urodzony w 1580 roku, przybył do Londynu dopiero po ukończeniu 18 tu lat, to znaczy

nie przed 1598 rokiem, zaś znajomość Szekspira z panem W. H. musiała być zapoczątkowana w 1594 lub — co najpóźniej w 1595-m. Tem samem, poznał Szekspir lorda Pembroke już po napisaniu tych sonetów.

Nadto, zauważył Cyryl, że ojciec lorda Pembroke nie umarł przed 1601 rokiem, zaś wiersz...

— „Ty miałeś ojca; niechaj syn tak powie...” wskazuje wyraźnie, że ojciec pana W. H. nie żył już w 1589. Zresztą nonsensem byłoby przypuszczać, aby którykolwiek z wydawców ówczesnych odważył się nazwać Williama Herberta, hrabiego Pembroke, panem W. H. — bowiem przykład lorda Buckhursta, o którym mówiąc, nazywano go parem Sackwillem, nie może być miarodajny. Lord Buckhurst nie był parem, lecz jedynie młodszym synem parą, którego tytułowano lordem li tylko przez grzeczność. Poza tem, ustęp z „Parnasu Angielskiego”, gdzie mowa jest o nim w tej formie, nie jest formalną i uroczystą dedykacją, lecz jedynie przypadkową wzmianką. — Takim było dowodzenie, którem Cyryl z łatwością obalił teorię dotyczącą lorda Pembroke, czemu przysłuchiwałem się ze zdumieniem.

Co się tyczy lorda Southamptona, kwestja przedstawiała się jeszcze łatwiej. Southampton we wczesnej już młodości kochał się w Elźbiecie Vernon, zbytecznem więc było nalegać, aby się ożenił;

nie był też pięknym, ani podobnym do matki swojej, jak mówi Szekspir o panu W. H.

„Zwierciadłem jesteś matki swej, a ona twojem”, nadewszystko zaś na imię mu było Harry, zaś sonety 135-ty i 143-ci wskazują, że przyjaciel Szekspira nosił to samo imię, co on sam — Will. Z wszelkimi innymi przypuszczeniami niefortunnych komentatorów, jak np., że imię pana W. H. — jest błędem zecerskim i powinno być pan W. S. — co znaczy — William Szekspir; że pan W. H. — jest panem Williamem Hathawayem, że kropka powinna być postawiona po wyrazie „pragnie”, co uczyniłoby z pana W. H. autora, a nie przedmiot dedykacji — załatwił się Cyryl bardzo krótko; nie chcę nawet cytować jego dowodzeń w tym kierunku, jakkolwiek pamiętam, że wybuchalem głośnym śmiechem, słuchając czytania przez niego ustępów — na szczęście nie w oryginale — z dzieła jakiegoś niemieckiego komentatora, imieniem Barustorff, który dowodził, jakoby pan W. H. był ni mniej ni więcej, tylko „Mr. William Himself” — samym panem Williamem”.

Ani na chwilę też nie chciał przypuścić, aby sonety miały być jedynie satyrami na dzieło Draytona i Daviesa z Herefordu. Dla niego — zarówno jak dla mnie — były to poematy poważnego i tragicznego znaczenia, tryskające z gorczy szekspirońskiego serca i osłodzone miodem jego ust. Tembardziej wzdragał się Cyryl uznać, aby miały one być filozoficzną jedynie alegorją i aby Szekspir zwracał się w nich do własnego, idealnego ja, do

ideału męskości, do ducha piękna, rozumu, czy boskiego logos, czy wreszcie do katolickiego kościoła.

Czuł on, jak oczywiście wszyscy czuć musimy, że Szekspir zwraca się w sonetach do żyjącego osobnika — do określonego młodzieńca, którego istota z niewiadomych powodów wypełniać zdaje się duszę jego straszliwą radością i niemniej straszliwą rozpaczą.

Po utworzeniu sobie w ten sposób drogi, zażądał Cyryl, abym odrzucił wszelkie teorje, jakie mogłem wytworzyć sobie uprzednio w tej sprawie i abym bez uprzedzeń i bez powziętych zgóry przekonań wysłuchał jego poglądu na całą rzecz.

Zagadnienie, jakie postawił sobie, było następujące: kim był ów młodzieniec, współczesny Szekspirovi, do którego, mimo że nie był on ani szlachetnie urodzony, ani nawet nie odznaczał się szczególnem szlachectwem ducha, zwraca się poeta z wyrazami tak namiętnego uwielbienia, że możemy jedynie podziwiać niezwykle ubóstwianie i z lękiem niejako uchylamy zasłonę, kryjącą tajemnicę jego serca?

Kim był ten, którego fizyczne piękno było tak wielkie, że stało się kamieniem węgielnym sztuki szekspirowskiej, istotnem źródłem szekspirowskiego natchnienia, wcieleniem marzeń wieszca. Wiedzieć w nim jedynie przedmiot pewnych poetyckich wynurzeń miłosnych, znaczy zapoznawać całe znaczenie tych poematów. Bowiem sztuka, o jakiej

mówi Szekspir w swoich sonetach, nie jest sztuką samych sonetów, które były w jego pojęciu drobnemi i intymnemi jedynie tworamami — jest ona sztuką dramatopisarza, którą ma on zawsze na myśli. I tym, do którego Szekspir zwraca się ze słowami: „Tyś całą moją sztuką“, tym, któremu przyobiecuje on nieśmiertelność — nie był napewno nikt inny, jeno chłopięcy aktor, dla którego stworzył on role: Violli i Imogeny, Julji i Rozalindy, Porcji i Desdemony, a nawet Kleopatry. Taką była w głównych liniach teoria Cyryla Grahama, wyprowadzona, jak pan widzi, z samych sonetów; teoria, której uznanie zależnem być mogło nietyle od namacalnych dowodów oczywistej słuszności, ale od pewnego rodzaju duchowego i artystycznego czucia, które jedynie — zdaniem Cyryla — mogło doprowadzić do wykrycia istotnego znaczenia poematów.

Pamiętam, jak odczytywał mi starannie wszystkie poematy, jeden po drugim, i wykazywał, albo może zdawało mu się, że wykazuje, iż, zgodnie z nowem jego wyjaśnieniem ich właściwego znaczenia, rzeczy, które wydawały się ciemnymi, złemi lub przesadnymi, stały się jasnymi i słusznymi i nabrały wysokiej artystycznej wartości, jako ilustracja pojęcia Szekspira o istotnym stosunku, zachodzącym pomiędzy sztuką aktorską, a sztuką dramatopisarza.

Oczywistem jest w istocie, że musiał być w trupie Szekspira jakiś cudowny chłopięcy aktor nad zwyczajnej urody, któremu powierzał on wykony

wanie ról szlachetnych swoich bohaterek, bowiem Szekspir był zarazem praktycznym dyrektorem teatru i natchnionym poetą. Otóż Cyryl Graham wykrył imię owego młodocianego aktora. Brzmiało ono: Will, lub też jak wołał on go nazywać, Willie Hughes. Imię Will odnalazł Cyryl w 135-ym i 143-m sonecie; zaś nazwisko Hughes, w innej jedynie pisowni, choć w tem samem brzmieniu*), kryje się podług niego w siódmym wierszu 20-go sonetu, napisane w 1-em folio dużą literą i w cudzysłowie. Świadczy to wyraźnie — dowodził Cyryl — że zachodzi tu celowa gra słów, na co wskazywać mają również inne sonety, w których wyrazy podobnego brzmienia do „Hughes” użyte są dwuznacznikowo.

Dowodzenia Cyryla przekonały mnie odrazu i Willi Hughes stał się dla mnie osobistością nie mniej realną niż sam Szekspir. Jedyne zarzut, jaki postawić mogłem jego teorji, polegał na tem, że mienia i nazwiska Willie Hughesa niema w spisie aktorów trupy Szekspira, wydrukowanym w pierwszym folio. Cyryl dowodził jednak, że brak imienia i nazwiska Willie Hughesa w tej liście potwierdza jedynie słuszność jego teorji, gdyż, jak wynika z 86-go sonetu, Willie Hughes opuścił trupę Szekspira i przeszedł do współzawodniczącego teatru, gdzie grał prawdopodobnie w którejś ze sztuk Chap-

*) Po angielsku Hughes i Hews czyta się jak: hjuuz.

mana. Do faktu tego odnoszą się słowa Szekspira w wielkim sonecie o Chapmanie:

„Kiedy wiersz jego postać twa wypełnia,
Mój brakło treści, więc mój tyś osłabił”.

Wyrażenie: „Kiedy wiersz jego postać twa wypełnia” tyczy się wyraźnie urody młodego aktora, urody, która tchnie życie w wiersz Chapmana, nadając mu czar, jakiego nie posiada on sam przez się.

Spędziliśmy cudowny wieczór i noc, siedząc do rana niemal przy odczytywaniu sonetów. Po pewnym jednak czasie zacząłem zdawać sobie sprawę, że, chcąc przedstawić światu teorię Cyryla w istotnie doskonalszej formie, należałoby zdobyć jakiś niezbity zupełnie dowód istnienia owego młodego aktora, imieniem Willie Hughes. Znalezienie takiego dowodu usunęłoby wszelką wątpliwość co do tożsamości jego z panem W. H., brak jednak takiego dowodu obali całą teorię doszczętnie. Oświadczyłem to bez ogródek Cyrylowi, którego mocno drażnił ten mój filisterski — jak go nazwał — nastrój, wprawiający go w bardzo zły humor. Udało mi się wszakże wymóc na nim przyrzeczenie, że, we własnym interesie, nie ogłosi drukiem swojego odkrycia, dopóki nie znajdzie sposobu usunięcia wszelkich w tej mierze wątpliwości. W ciągu tygodni całych przeszukaliśmy wszelkie spisy i akty, w których mogliśmy, według obliczeń naszych, znaleźć jakąś wzmiankę o Willie Hughesie, nie zna-

leżliśmy jednak nic. Z dniem każdym fakt istnienia jego wydawał mi się bardziej problematycznym. Cyryl był w okropnym stanie i wracał codziennie do ponownego rozpatrywania całej sprawy, zaklinając mnie, abym nie przestał w nią wierzyć. Nie mogłem jednakże zamykać oczu na tę szczerbę w jego teorii, nie chciałem też dać się przekonać, dopóki fakt istnienia Willie Hughesa, chłopięcego aktora z doby Elżbietańskiej, nie zostanie oparty na tak pewnej i niewzruszonej podstawie, że nie będą go mogły osiągnąć żadne wątpliwości ani zarzuty.

Pewnego dnia wyjechał Cyryl do dziadka, jak sądziłem wówczas, wkrótce jednakże dowiedziałem się od lorda Creditona, że byłem w błędzie. Po upływie dwóch tygodni otrzymałem od młodego mojego przyjaciela telegram, nadany w Warwick, w którym prosił mnie usilnie o przybycie do niego tegoż dnia na obiad o 8-ej wieczorem. Na przywitanie rzekł do mnie: „Jedynym apostołem, który nie zasługiwał na danie mu dowodów, był święty Tomasz, i św. Tomasz był jedynym apostołem, który zyskał te dowody”. Zapytałem go o znaczenie tych słów. Odpowiedział, że nie tylko udało mu się ustalić istnienie w 16-em stuleciu młodocianego aktora, Willie Hughes, ale nadto zdobyć dowód najbardziej namacalny, jaki mieć można, że on właśnie był owym panem W. H. z sonetów.

Nie chciał narazie nic więcej powiedzieć; po obiedzie dopiero uroczyście odsłonił przede mną portret, który panu pokazałem, opowiadając mi, że szczególnym trafem znalazł go, wbity w boczną ściankę komody, którą nabył w Warwickshire. Komodę tę, bardzo ładny okaz w stylu Elżbietańskim, przywiózł naturalnie z sobą. W samym środku frontowej płyty wyrzeźbione były inicjały: W. H. Monogram ów właśnie zwrócił jego uwagę, ale dopiero w kilka dni po nabyciu komody przyszło mu na myśl dobrze przeszukać jej wnętrze. Pewnego rana zauważył mianowicie, że jedna z bocznych ścianek sprzętu była znacznie grubsza od drugiej; przyjrząwszy się jej bliżej, spostrzegł, że wstawiony jest w nią oprawny obraz. Wyjął go naturalnie i przekonał się, że jest to ten sam właśnie portret, który leży w tej chwili na stole. Był bardzo zbrudzony i pokryty pleśnią; kiedy jednak udało mu się oczyścić go, przekonał się, ku wielkiej swej radości, że natrafił szczęśliwym zbiegiem okoliczności na to, czego od tak dawna szukał. Nie ulega bowiem kwestji, że był to autentyczny portret p. W. H., opierającego rękę na dedykcyjnej stronicy wydania sonetów, zaś na ramie można było wyczytać imię i nazwisko młodzieńca, wypisane czarnymi, niewyraźnymi literami na wyblakłym złotem tle: „Master Will Hews”.

Cóż mogłem na to powiedzieć? Nie mogło mi wcale wpaść na myśl, że Cyryl Graham pozwoliłby sobie zażartować ze mnie, albo też, że usilo-

wał za pomocą fałszerstwa, dowieść słuszności swojej teorii.

— Więc to było fałszerstwo? — zawołał ten

— Tak — rzekł Erskine. — Bardzo zżęczne, coprawda, fałszerstwo, ale bądź co bądź fałszerstwo.

Dziwił mnie nieco spokój, z jakim Cyryl przyjął zdumiewające swoje odkrycie; pamiętałem jednak, jak niejednokrotnie powtarzał mi, iż dla niego samego odkrycie to było niepotrzebne, wierzył bowiem w swoją teorię niewzruszenie i bez tego dowodu. Ja, jednakże, tak często dowodziłem mu, że cała jego teoria runie bez przekonywającego takiego dowodu, że tem goręcej wńszowałem mu cudownego jego odkrycia. Postanowiliśmy wówczas, że portret musi być wycięty w drzewie lub wryty na stali i odbity na okładce Cyrylowego wydania sonetów. Całe trzy miesiące poświęciliśmy na przestudjowanie sonetów, wiersz po wierszu, dopóki nie udało nam się wreszcie wyjaśnić znaczenia każdego trudniejszego ustępu.

Pewnego nieszczęsnego dnia zaszedłem do jednego ze sklepów z rycinami w Holborn i odrazu spostrzegłem na ladzie śliczne rysunki, wykonane sztychową techniką. Tak byłem niemi zachwycony, że kupiłem je. Na moje zapytanie o nazwisko ich autora, podał mi właściciel sklepu nazwisko i adres Edwarda Mertona, bardzo zdolnego — jak dodał — ale biednego, jak mysz kościelna, artysty. Po kilku dniach odwiedziłem go.

Zastąłem bladego, interesującego, młodego człowieka oraz jego żonę, kobietę o wyglądzie nader pospolitym — jego dawną modelkę, jak się potem dowiedziałem.

Powiedziałem mu, że zachwycony jestem jego rysunkami, co sprawiło mu widoczną przyjemność, i poprosiłem o pokazanie mi innych jeszcze dzieł jego. Podał mi całą tekę, pełną przeslicznych rysunków, wyróżniających się w istocie nader delikatnem i pełnem wdzięku dotknięciem. Nagle wzrok mój padł na szkic portretu p. W. H.

Nie było żadnej wątpliwości. Miałem przed sobą niemal *facsimile* portretu — z tą jedynie różnicą, że obie maski, Tragedji i Komedji, nie zwisały z marmurowego stolika, jak na portrecie, lecz leżały na podłodze u stóp młodzieńca.

— Skąd u licha pan to ma? — zapytałem.
Zmieszał się nieco i wyjąkał:

— O, to nic. Nie wiedziałem, że jest w tej tece. To rzecz zupełnie bez znaczenia.

— Jakto, przecież robiłeś ją dla pana Cyryla Grahama! — zawołała jego żona. — Jeżeli ten pan chce kupić ten rysunek, daj mu go — dodała.

— Dla pana Cyryla Grahama?! — powtórzyłem. — Więc to pan malował portret p. W. H.?!

— Nie rozumiem, o czem pan mówi... — odparł, oblewając się rumieńcem.

Cała okropna ta sprawa wyszła odrazu na jaw dzięki gadatliwości żony artysty. Dałem jej na odchodnym pięć funtów. Jeszcze dzisiaj nie mogę spokojnie o tem myśleć. Może pan sobie wyobrazić, jaki byłem wówczas oburzony.

Pojechałem wprost do Cyryla, czekałem na niego całe trzy godziny, a kiedy spojrział mi prosto w twarz z tem potwornem kłamstwem w oczach, oznajmiłem mu bez żadnych wykrętów, że wykryłem jego fałszerstwo. Zbladł jak płótno i rzekł:

— Zrobiłem to wyłącznie dla ciebie. Nie mogłem cię przekonać innym sposobem. Nie wpływa to bynajmniej na prawdziwość mojej teorii.

— Na prawdziwość twojej teorii! — zawołałem. — Im mniej będziemy na nią tracili słów, tem lepiej. Nigdy nie wierzyłeś w nią ty sam nawet. Gdybyś wierzył, nie byłbyś popełnił oszustwa, aby udowodnić jej słuszność.

— Nastąpiła między nami ostra bardzo wymiana słów. Wiem, że byłem niesprawiedliwy. — Nazajutrz nie żył już.

— Nie żył! — krzyknąłem.

— Tak; zastrzelił się... Kilka kropel krwi bluznęło na ramę portretu, na to właśnie miejsce, gdzie wypisane było imię. Zanim zdążyłem przybyć — słuszny posłał po mnie natychmiast — była już na miejscu policja. Pozostawił list do mnie, napisany w chwili najwyższego rozdrażnienia i zgnębienia.

— Co zawiera list? — zapytałem.

— Zapewnienie, że bezwzględnie wierzy w Willie Hughesa, że dopuścił się sfałszowania portretu jedynie ze względu na mnie; że podstawienie to w najłżejszym nawet stopniu nie osłabia prawdziwości jego teorii i że, chcąc mi dowieść, jak silną i niezachwianą jest wiara jego w całą sprawę, kładzie życie swoje w ofierze na rzecz tajemnicy sonetów. Był to nedorzeczny, szalony list. Kończył się powierzeniem mi teorii o Willie Hughesie, powierzeniem mi zadania wyjaśnienia jej świata, odsłonięcia przed nim tajników szekspirowskiego serca.

— Jakaż to przeraźliwie tragiczna opowieść! — zawołałem — dlaczegoż nie spełniłeś pan jego życzenia?

Erskine wzruszył ramionami. — Ponieważ jest to zupełnie nedorzeczna teoria, od początku do końca — odparł.

— Drogi panie — rzekłem, wstając z krzesła — jesteś pan w zupełnym błędzie. Teoria Cyryla stanowi jedyny właściwy klucz do zrozumienia sonetów szekspirowskich, jedyny ze wszystkich, jakie do nich dopasowano. Teoria Grahama wykończona jest aż do najdrobniejszych szczegółów. Wierzę w Willie Hughesa.

— Nie mów pan tego! — ostrzegł mnie Erskine tonem poważnym. — Czuję, że jakiś fatalizm zawisł nad całym tym pomysłem, który ze stanowiska teoretycznego zupełnie nie wytrzymuje krytyki. Zbadałem całą tę sprawę i zapewniam pana, że

teoria nieszczęśliwego Cyryla jest najzupełniej zwodnicza. Wydaje się prawdopodobną aż do pewnego punktu. Tutaj jednak grzęźnie. Nie zabieraj się pan, na miłość boską, do kwestji Willie Hughesa. Może cię to kosztować życia!

— Drogi panie — odparłem — obowiązkiem pańskim jest obwieścić tę teorię światu. Jeśli pan tego nie uczynisz, ja pana zastąpię. Chowając ją w ukryciu, krzywdzi pan pamięć Cyryla Grahama, najmłodszego i najbardziej godnego podziwu męczennika literatury. Błagam pana, wyjaw światu myśl jego. Życie położył za tę sprawę; niech śmierć jego nie będzie nadaremna.

Erskine spojrział na mnie zdumiony. — Daje się pan unieść uczuciu! — rzekł. — Zapomina pan że idea nie musi być prawdziwą dlatego, że czło wiek umiera za nią. Kochałem Cyryla Grahama Śmierć jego była dla mnie strasznym ciosem. Nie odzyskałem przez długie lata zachwianej przez nią równowagi. Nie zdaje mi się, abym mógł już odzyskać ją kiedykolwiek. Ale Willie Hughes?! To pusty dźwięk bez treści. Nie istniał nigdy człowiek tego imienia. Co się zaś tyczy wyjawienia całej sprawy światu — świat sądzi, że śmierć Cyryla Grahama była spowodowana nieszczęśliwym wypadkiem. Jedynym dowodem, że było to samobójstwo była treść listu jego do mnie, ale o liście tym dowiadujesz się pan pierwszy. Lord Crediton przekonany jest do dnia dzisiejszego, że był to fatalny przypadek.

— Cyryl Graham poświęcił życie za wielką sprawę — odparłem — jeśli więc nie chce pan wyjawić światu jego męczeństwa, wyjaw mu przynajmniej jego wierzenie.

— Jego wiara — rzekł Erskine — związana była z rzeczą fałszywą, z rzeczą szaloną, z rzeczą, której żaden z badaczy Szekspira nie uznałby ani na chwilę. Wyśmianoby wprost całą jego teorię. Nie daj się pan omanić i nie wchodź na drogę, która nie prowadzi do żadnego celu. Wyszedłbyś pan od razu z fałszywego założenia, przyjmując, jako fakt, istnienie osobistości, której istnienie to właśnie musi być dopiero dowiedzione. Zresztą wszystkim wiadomo jest, że sonety były poświęcone lordow Pembroke. Fakt ten ustalony już został raz na zawsze.

— Fakt ten nie jest ustalony! — krzyknąłem. — Podejmę teorię Cyryla Grahama od tego punktu, do którego ją doprowadził, i dowiodę światu, że miał słuszność.

— Dzieciaku! — odparł Erskine. — Idź pan do domu; już po drugiej, i nie zaprzataj sobie głowy Willie Hughesem. Żałuję, że opowiedziałem panu całą tę historję, jeszcze bardziej żałuję, że przeze mnie uwierzył pan w rzecz, w którą ją sam nie wierzę.

— Zawdzięczam panu klucz do największej zagadki współczesnej literatury — odparłem — nie spocznę więc, dopóki nie zmuszę pana do uznania, dopóki nie zmuszę świata do uznania, że Cyryl Gra-

ham był najsubtelniejszym krytykiem Szekspira w naszej epoce!

Świt już różowił się nad Londynem, kiedy wracałem do domu przez park miejski. Białe łabędzie jeżały uśpione na srebrzystej tafli jeziora, ponury płat płonął purpurową łuną na bladezielonym tle nieba. Myślałem o Cyrylu Grahamie, i oczy moje zaszkliły się łzami.

II.

Było po dwunastej, kiedy się obudziłem. Po-
przez zasłony okienne wpadało do pokoju słońce
długimi, skośnymi smugami złotawego pyłu. Za-
powiedziałem służącemu, że nie przyjmę nikogo
i, po wypiciu filiżanki czekolady i zjedzeniu bułecz-
ki, zdjąłem z półki tom sonetów Szekspira i zagłę-
biłem się w staranne studjowanie ich. Każdy z so-
netów zdawał się potwierdzać teorię Cyryla Grah-
ma. Miałem wrażenie, że trzymam rękę na sercu
Szekspira i wyczuwam każde uderzenie pulsu jego
namiętności. Myślałem o cudownym chłopięciu-
aktorze i widziałem twarz jego w każdym wierszu.

Dwa sonety, pamiętam, uderzyły mnie szczegó-
lnie: 53-ci i 67-my. W pierwszym z nich Szekspir,
winszując Hughesowi giętkości i różnorodności jego
gry, szerokiego zakresu ról, obejmującego całą ga-
mę postaci: od Rozalindy do Julji, i od Beatryczy
do Ofelji, mówi do niego:

— Jaka treść twoja, z czegoś jest urobion,
Ze cieni milion za tobą się ściele?

I kiedy każdy ma cień tylko jeden.
Ty jeden tylko, cieni dajesz wiele?"

Słowa te nie byłyby zrozumiałe, gdyby nie były skierowane do aktora, bowiem wyraz „cień“ miał w dobie Szekspirowskiej znaczenie techniczne, związane ze sceną. — „Najlepsi tego gatunku są cieniami za ledwie“ — mówi Tezeusz o aktorach w Śnie Nocy Letniej. Alluzji podobnych wiele jest też w literaturze ówczesnej.

Sonety te należały widocznie do cyklu, w którym Szekspir rozpatruje charakter sztuki aktorskiej, istotę dziwnego i rzadkiego temperamentu, który jest zasadniczą cechą prawdziwie dobrego aktora. „Jakim dzieje się to sposobem — zwraca się Szekspir do Willie Hughesa — że tyle masz osobowości?“. A potem mówi dalej o jego urodzie, która jest tak wielką, że zdaje się ucieleśniać każdą formę i każdą odmianę fantazji, urzeczywistnić każde rojenie wyobraźni twórczej. — Myśl tę rozwija w dalszym ciągu w następnym sonecie, gdzie, zaczynając od pięknych słów:

„Ileż piękniejszem piękno się wydaje,
„Gdy zdobne w słodycz tego, co prawdziwe!“

Zwraca poeta uwagę naszą na to, jak prawdziwość gry, prawda oddawania rzeczywistości na scenie, dodaje uroku poezji, tchnąc życie w jej czar i wlewając żywą treść w idealną jej formę.

Mimo to, w sonecie 67-ym, wzywa Szekspir Willie Hughesa, aby porzucił scenę z jej sztucznością,

Duch w zamku. 7

z jej złudą życia, o malowanej twarzy i fantastycznej szacie, z jej nienormalnymi wpływami i podszeptami, z jej oddaleniem od rzeczywistego świata szlachetnych czynów i szczerego wypowiedania się.

„Ach, pocóż żyć ma wśród jadu zatrucia,
I przecz uświęcać niecność swą osobą,
By grzech korzyści ciągnąć mógł od niego,
By chęlcie mógł się, że z nim pospół żywie?”
A krasie jego nacóż szminki, fałsze,
I sztuczna martwość jego żywej barwie?
Dlaczego piękno pośrednio ma szukać
Róż pośród cieniów, gdy ma różę żywą?

Dziwnem wydać się może, że tak wielki dramaturg, jak Szekspir, który osiągnął szczyt doskonałości, jako artysta, i doprowadził do zenitu sztukę rozumienia ludzkości, jako człowiek, na idealnej płaszczyźnie tworzenia dla sceny i grania na scenie, mógł wyrażać się w ten sposób o teatrze. Pamiętać wszakże należy, że w sonecie 110-ym i 111-ym Szekspir wykazuje nam, że i jego znużył sztuczny świat marjonetek, i wstyd go obejmuje na myśl, że był „błaznem dla tłumów“.

Szczególną goryczą zaprawiony jest sonet 111-y.

„Za mnie ty gniewnie sarkasz na Fortunę,
Winowajczynię moich czynów zdrożnych,
Że nie umiała lepiej mną kierować,
Niż na widownię pchając mnie dla tłumu;
Stąd idzie plama, co me imię kała,
I stąd natura moja się nagięła
Do wszystkich fałszów, co ją wypaczały;
Żal się mej męce, chciej, abym się odrodził.

W innych również sonetach liczne są przejawy tych samych uczuć w wyrażeniach, dobrze znanych poważnym badaczom Szekspira.

Niepokoił mnie szczególnie przy czytaniu sonetów punkt jeden, i wiele dni minęło, zanim wpadłem na właściwe jego znaczenie, którego widocznie nie dopatrzył się Cyryl Graham. Nie mogłem pojąć, czemu to się dzać mogło, że Szekspir tak wielką przykładął wagę do żeniaczki młodego swojego przyjaciela. On sam ożenił się młodo z wynikiem bardzo nieszczęśliwym, trudno więc było zrozumieć, dlaczego miałby pchać Willie Hughesa do popełnienia tego samego błędu. Młodociany odtwórca Rozalindy nie mógł nic zyskać na małżeństwie i zaznaniu namiętności rzeczywistego życia. Wcześniejsze sonety z ich dziwnem naleganiem na płodzenie dzieci dźwięczały dla mnie drażniąco-falszową nutą. Zrozumienie tej zagadki olśniło mnie nagle. Znalazłem je w ciekawej owej dedykacji. Pamiętać należy że brzmi ona, jak następuje:

Jedynemu — rodzicowi — tych —
Zawartych — tutaj — sonetów —
Panu W. H. — całkowitego — szczęścia
Oraz — owej — wieczności —
Przyobiecanej
Przez —
Naszego — wiecznie — żyjącego — poetę —
Życzy —
Dobrze — życzący

Przedsiębiorca — w
Ogłaszaniu
światu —

T. T.

Niektórzy badacze przypuszczali, że wyraz „rodzić“ w tej dedykacji oznacza poprostu tego, który dostarczył sonetów Tomaszowi Thorpowi, ich wydawcy. Pogląd ten nie utrzymał się i najwyższe autorytety przyjmują jednomyślnie, że należy wyraz ten rozumieć w sensie: — dającego natchnienie do życia fizycznego.

Zrozumiałem więc, że ta sama przenośnia użyta została również i przez Szekspira w wielu miejscach sonetów, i to naprowadziło mnie na właściwą drogę. Dokonałem wreszcie wielkiego mojego odkrycia. Małżeństwo, które Szekspir proponuje Willie Hughesowi, jest zawarciem związku z Muzą. Wskazuje na to wyraźnie sonet 82-gi, w którym, rozgoryczony na braki, dostrzeżone u młodocianego aktora, dla którego napisał największe role i którego uroda natchnęła go w istocie pomysłem do nich, rozpoczyna skargę swoją od słów:

„Ty Muzie mojej nie byłeś poślubion“.

A dzieci, które każe mu on płodzić, nie są dziećmi z krwi i ciała, lecz bardziej nieśmiertelnymi tworam i nieumierającej sławy. Cały cykl wczesnych sonetów jest poprostu zachętą skierowaną przez Szekspira do Willie Hughesa, aby wstąpił na scenę i stał się aktorem. „Jak bezpłodną i nieuży-

teczną jest piękność twoja, jeśli jej nie wykorzystasz.

Gdy na twe czoło padnie lat czterdzieści,
I bruzdy zorzą twej piękności lany,
A młodość, dzisiaj w podziwie i cześci,
Zmieni swe szaty w żałobne łachmany;
Wówczas kto spyta, gdzie ten cudny człowiek,
Gdzie jest ów klejnot twoich dni wesela?
Orzec mu wzrokiem z pod zapadłych powiek: —
Wstyd — to niesławy i chwały niewiela“.*)

Musisz stworzyć coś w dziedzinie sztuki“;
wiersz mój „jest twój i z ciebie zrodzony“, słuchaj
mnie tylko a „zrodzę wiecznie trwałe dzieła, co nie-
skończone przeżyją lata“, zaś ty zaludnisz postacia-
mi twojego własnego obrazu urojony świat sceny.
„Dzieci te, które płodzisz“ — mówi dalej — „nie
zwiądną, jak dzieci śmiertelne; będziesz żył w nich
i w moich sztukach“,

„Przez miłość dla mnie ty w nich odródź siebie;
Życ daj w nich pięknu, które poszło z ciebie“:

Zebrałem wszystkie ustępy, które zdawały się
potwierdzać w moim mniemaniu ten pogląd. Wy-
warły one na mnie silne wrażenie, wykazując mi,
jak dalece skończoną w swojej budowie była teoria
Cyryla Grahama.

*) Przekład Artura Górskiego.

Przekonałem się też jak łatwo było oddzielić wiersze, w których mówi o samych sonetach, od tych, w których ma na myśli wielkie swoje dzieło dramatopisarza. Na ten punkt nie zwrócił uwagi żaden krytyk przed Cyrylem Grahamem. A przecież był to punkt najwyższy w całym cyklu poematów. Stosunek Szekspira do sonetów był mniej lub więcej obojętny. Nie chciał budować na nich swojej sławy. Były one dla niego „lekką Muzą“, jak je nazywa, przeznaczoną — zdaniem Meresa — na prywatny użytek do krążenia wśród bardzo nielicznej garstki przyjaciół. Natomiast doskonale był on świadom wysokiej artystycznej wartości swoich sztuk; zdradza też szlachetną ufność w swój dramatyczny genjusz, kiedy mówi do Willie Hughesa:

„Twe nieśmiertelne lato się nie zmienia,
I twa uroda to nie płonne wiano.
Śmierć się nie może chępić z twego cienia,
Gdy pójść ci w wieczność będzie rozkazano:
Dopóki jeszcze dech się w ludziach kryje,
Ty w mojej pieśni, pieśń ma w tobie żyje“. *)

Wyrażenie „w wieczność“ odnosi się do jednej z jego sztuk, którą mu posłał w owym czasie, tak samo jak końcowy czterowiersz świadczy o jego ufności w to, iż sztuki jego zawsze będą grane.

*) Przekład Jana Kasprowicza.

W jego zwrotkach do Muzy Dramatycznej (w sonetach 100-ym i 101-ym) znajdujemy powtórzenie tego samego uczucia:

„Gdzie jesteś Muzo, że już tak oddawna
Przemilczasz o tem, w czym twa moc się mieści?
Czyż w opiewaniu rzeczy lichych sprawna,
Chcesz im swym blaskiem więcej dodać cześci?”—

woła, a potem wyrzuca Muzie Tragedji i Komedji jej „zaniedbywanie prawdy w farbowanem pięknie.

Najpełniejszy wszakże wyraz dał Szekspir myśli tej w sonecie 55-ym. Przypuszczać, że „potężna pieśń“ drugiego wiersza odnosi się do sonetu, znaczyłoby zapoznawać najzupełniej myśli Szekspira. Wydawało mi się więcej niż prawdopodobnem, sądząc z ogólnego charakteru sonetu, że poeta miał tu na myśli pewien specjalny utwór dramatyczny i że utworem tym była tragedia *Romeo i Julja*.

„Marmur, ni złote ksiąząt monumenty
Mojej potężnej nie przeżyją pieśni;
Blask twój promienny w jej zwrotkach zakłęty,
Lśnistszw od gładów, które czas opleśni.
Gdy statuy straszna podruzgoce wojna,
Gdy się rozpadną w gruz dzieła rzeźbiarzy,
Ni Mars swym mieczem, ni waśń niespokojna
Nie sflumią ognia, co się w tobie jarzy.
Naprzekór śmierci i wbrew niepamięci
Życ będziesz dalej; cześć twą uwydatni
Oko potomnych, w których świat ten święci
Triumf zniszczenia aż po Dzień Ostatni,

Tak aż do sądu, co wskrzesi twe kości,
Sławić cię będą czciciele miłości" *).

Tutaj, jak również w innych jeszcze miejscach, przyobiecuje Hughesowi nieśmiertelność w tej formie, która najczęściej przypada ludziom do gustu; w postaci występowania na widowni, w sztuce, podziwianej przez tłumy.

W ciągu dwóch tygodni pracowałem niezmqdowanie nad sonetami, mało bardzo wychodząc nie przyjmując żadnych zaprosin. Z dniem każdym odnajdywałem w nich coś nowego i miałem wrażenie duchowej obecności Willie Hughesa, który stał się dla mnie rodzajem zawsze górującej nad wszystkim osobowości. Mogłem go sobie wprost wyobrazić, stojącym w cieniu mojego pokoju, tak wyraźnie narysował Szekspir jego obraz, jego złociste kędziory, jego delikatny wdzięk kwiatu, marzące, głąkoko osadzone oczy, smukłe, gibkie nogi i białe, jak płatki lilji, ręce. Samo nawet imię jego miało dla mnie szczególnie pociągający urok. Willie Hughes! Jak dźwięcznie to brzmi. Tak; któż, jeśli nie on mógł być mistrzem i mistrzynią namiętności Szekspira¹⁾, panem jego miłości, któremu był on zaprzędany w lennictwo²⁾, subtelną oblubienicą rozkoszy³⁾, różą wszechświata⁴⁾, zwiastunką wiosny⁵⁾, strojną w pyszną liberję młodości⁶⁾, pięknym chłopcem, którego głos dźwięczy jak muzyka słodka⁷⁾, a którego

*) Przekład J. Kasprowicza.

¹⁾ Sonet 20; ²⁾ s. 6; ³⁾ s. 126; ⁴⁾ s. 109; ⁵⁾ s. 1; ⁶⁾ s. 7) s. 8;

piękno jest oponą serca Szekspira⁴⁾ i kluczem jego dramatycznej potęgi? Jak gorzką wydała mi się teraz cała tragedia jego ucieczki i jego hańby, której umiał czarem swej osobowości nadać wdzięk i słodycz⁵⁾, ale która mimo to była hańbą. Skoro jednak Szekspir mu wybaczył, dlaczegoż nie mielibyśmy i my wybaczyć mu? nie zależało mi wcale na zgłębieniu tajemnicy jego grzechu.

Opuszczenie przez niego teatru Szekspira było sprawą innego rodzaju, którą zbadałem też szczegółowo. Badanie to doprowadziło mnie do wniosku, że Cyryl Graham był w błędzie, przypuszczając, iż Chapman był owym rywalizującym dramaturgiem z 80-go sonetu. Szło tu najwidoczniej o Marlowe'a.

W czasie, kiedy sonety zostały napisane, wyrażenie „wspaniały rozmach jego wielkiego wiersza“ nie mogłoby być żadną miarą użyte w zastosowaniu do dzieła Chapmana, jakkolwiek o stylu późniejszych sztuk jego możnaby śmiało tak się wyrazić. Nie; to Merton był najwidoczniej owym rywalizującym dramatopisarzem, o którym Szekspir tak pochlebnie się wyrażał, zaś ów —

„Rodzimy miły duch,

Co nocą tak okpiwa go dowcipnie“ — był nie kto inny jeno Mefisto z jego „Doktora Fausta“. Nie ulega wątpliwości, że uroda i wdzięk młodziutkiego aktora oczarowały Marlowe'a, iż odciągnął on go

⁴⁾ s. 20; ⁵⁾ s. 95.

od trupy Szekspira i zwabił do siebie, gdzie miał grać rolę Galvestony w jego *Edwardzie II-im*

O tem, że Szekspir był w zupełnem prawie zatrzymać Willie Hughesa, świadczy sonet 87-y, jednakże, nie mogąc go utrzymać miłością, nie chciał zatrzymywać go przemocą. Willie Hughes stał się członkiem trupy lorda Pembroke, i prawdopodobnie na otwartej scenie Czerwonej Tawerny grał rolę subtelnej kochanki króla Edwarda. Zdaje się, że po śmierci Marlowe'a powrócił do Szekspira, który bez względu na opinię w tej sprawie swoich towarzyszy, nie zawahał się wybaczyć młodemu aktorowi jego samowolę i zdradę.

Jak trafnie określił Szekspir temperament aktora! Willie Hughes był jednym z tych,

„Co czynią wręcz inaczej, niżli okazują
I tłum wzruszając, kamienny spokój mają ,

Mógł on grać zakochanego, nie czując miłości
mógł udawać namiętność, nie znając tego uczucia.

„Twarz wielu poorana, fałsz serca zmarszczką
zdradza”.

Ale inaczej było z Willie Hughesem. „Niebiosia” — powiada Szekspir — „zrządziły, aby w twarzy jego słodki wyraz miłości na wieki się ostał”.

„I chociaż w sercu jego tych uczuć już nie było,
„Słodyczy piętno w twarzy na wieki pozostało”.

W jego „zmierniej duszy” i w „fałszywym jego sercu” łatwo było dopatrzeć się nieszczerości

i zdrady, tak samo nieodłącznie niejako związanych z naturą artystyczną, jak żądza oklasku i dążenie do uznania przez współczesnych, które cechują wszystkich aktorów. Willie Hughes i pod tym względem szczęśliwszym był od innych. Zespolony nierozdzielnie ze sztukami Szekspira, miał on zaznać do pewnego stopnia nieśmiertelności.

„Imię twe zyszcze nieśmiertelną siłę,
Choć mnie dla świata nikt już nie obudzi;
Dla mnie li ziemia wspólną da mogiłę,
Ty zaśię spoczniesz na widoku ludzi.
Nagrobkiem twoim będzie pieśń ma wzniosła;
Ród niedzisiejszy powtarza jej hasła;
Cześć twa na ludzkich językach wyrosła;
Póki ostatnia iskra tchu nie zgasła.
Tak już na wieki — potęgą mej pieśni —
Imię się twoje z ludzkim tchem zrównieśni“ ¹⁾.

Niezliczone są też w sonetach aluzje do władzy, jaką Willie Hughes miał nad widzami — „gapiami“ — jak ich Szekspir nazywa.

Pewnego razu wydało mi się, że naprawdę znalazłem Willie Hughesa w literaturze z doby Elżbietańskiej. W niezmiernie obrazowym opisie ostatnich dni wielkiego hrabiego Essexu, jego kapelan, Tomasz Knell, opowiada, że w noc przedśmiertną hrabia wezwał „Williama Hewesa“, nadwornego swojego muzyka, i kazał mu grać i śpiewać. — „Zagraj mi na lutni pieśń moją, Willu He-

¹⁾ Przekł. J. Kasprowicza.

wesie, a zaśpiewam ją dla siebie". I uczynił to radośnie, nie jak wyjący łabędź, wpatrzony wciąż jeszcze w ziemię, oplakuje swój koniec, ale jak słodki skowronek, wznosząc oczy i ręce do Boga, i z tą pieśnią wlatując ku kryształowym stropom, aż, z nieznużoną wciąż krtanią dotarł do najwyższego szczytu niebios.

Chłopcem tym, który przygrywał na lutni konającemu ojcu Sydneyowskiej Stelli nie był napewno nikt inny, jeno ów właśnie Will Hews, któremu Szekspir poświęcił swoje sonety i który — jak nam powiada „był sam jak muzyka słodki“.

Okazało się wszakże z bliższych badań, że lord Essex zmarł w r. 1576, zatem wówczas, kiedy Szekspir był dwunastoletnim zaledwie chłopcem. Upada tem samem przypuszczenie, aby muzyk nadworny jego Hrabiowskiej Mości mógł być panem W. H. z sonetów. Jedyne rzecz możliwa, że młody przyjaciel Szekspira był synem grającego na lutni. Bądź co bądź odkrycie, że imię i nazwisko „Will Hews“ istniało w epoce Elżbietańskiej, nie było bez znaczenia, tembardziej, że zdawało się ono być ściśle związane z muzyką i ze sceną. Pierwszą aktorką angielską była przepiękna Małgorzata Hews, w której do szaleństwa rozkochał się książę Rupert. Cóż więc bardziej prawdopodobnego niż to, że ze stosunku jej z muzykiem lorda Essexu mógł zrodzić się młodzieńcy wykonawca kobiecych ról szekspirowskich. Niestety, nie udało mi się ich znaleźć.

Miałem wciąż wrażenie, że jestem tuż, tuż na tropie decydującego stwierdzenia, i nigdy nie udało mi się dotrzeć do niego.

Od myśli o życiu Willie Hughesa rychło przeszedłem do rozmyślań nad jego śmiercią. Zastanawiałem się często nad tem, jaki mógł być jego koniec.

Może był on jednym z owych angielskich aktorów, którzy w 1604 popłynęli na morze, do Niemiec i grali tam na dworze księcia Henryka Juljusza Brunświckiego, który sam był dramatopisarzem niebyłe jakim, a także na dworze owego dziwaka, elektora Brandeburskiego, który tak był rozmiłowany w pięknie, że opowiadano o nim, jakoby kupił na wagę bursztynu młodego syna pewnego wędrownego greckiego kupca i dawał wspaniałe widowiska na cześć swoich niewolników.

Wszystko to dzieć się mogło w owym okropnym roku głodu, z 1606 na 1607-y, kiedy ludzie kotali z wycieńczenia na ulicach, spopielonych z braku wody, bowiem przez siedem miesięcy nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Wiadomo w każdym razie, że tragedia *Romeo i Julja* wystawiona była w Dreźnie, 1613, równocześnie z *Hamletem* i królem *Learem*. Niewątpliwie też nie komu innemu jeno Willie Hughesowi, wręczona była w 1615-ym maska pośmiertna Szekspira, przywieziona przez kogoś ze świty angielskiego ambasadora, jako bolesne świadectwo śmierci wielkiego poety, który tak gorąco kochał Hughesa. Istot-

nie, dziwnie trafną byłaby myśl, ażeby chłopięcy aktor, którego uroda była podstawowym czynnikiem realizmu i romantyzmu dramatycznej sztuki Szekspirowskiej, był pierwszym, który przywiózł i zaszczylił w Niemczech ziarna nowej kultury, i stał się tym sposobem zwiastunem niejako doby oświecenia z XVIII-go wieku, owego ruchu wspaniałego, zapoczątkowanego przez Lessinga i Herdera i doprowadzonego do pełni rozkwitu przez Goethego. W znacznym stopniu pomocnym był mu w tem dziele inny jeszcze aktor, Fryderyk Schroeder, który pierwszy rozbudził w tym kierunku świadomość tłumu, wykazując, za pomocą udanych namiętności oraz innych środków scenicznych, ścisły, nieodłączny związek między życiem i literaturą. Jeśli tak było — nie istnieją zaś dowody, obalająca to przypuszczenie — nie jest nieprawdopodobnem, że Willie Hughes był jednym z owych komedjantów angielskich, (*mimoe quidam ex Britannia*, jak nazywają stare kroniki) którzy zostali zamordowani podczas wybuchłego nagle powstania i zostali w ukryciu pochowani na małym polu winnicznem, poza miastem, przez kilku młodych ludzi, „którym przyjemność sprawiała ich gra i z których kilku zamierzało poświęcić się tajemkom nowej sztuki“. Nie mogło w istocie odpowiednie znaleźć się miejsce, aniżeli ta winnica poza murami miasta, dla człowieka, do którego Szekspir mówił „ty jesteś całą moją sztuką“. Czyż bowiem źródłem Tragedji nie były smutki Dionisosa? Czyż nie usta Sycylijskiego hodowcy wina wydały pierw-

szy okrzyk pogodnego śmiechu komedji z jego bez-troskliwą wesołością i zręcznymi odpowiedziami? Czy poczucie czaru i uroku przebrania nie zbudziło się po raz pierwszy na widok purpurowych i szkarłatnych plam moszczu winnego na policzkach i nogach? czy nie podsunęły one chęci ukrywania się, zrozumienia wartości obiektywizmu, uwydatniającego się w ten sposób po raz pierwszy w surowych jeszcze zupełnie zaczątkach sztuki?

Bądź co bądź jednak, gdziekolwiek leżał Willie Hughes, czy na małym polu winnicznem u wrót goetyckiego miasta, czy też na ciemnym jakimś cmentarzu londyńskim wśród zgiełku i ruchu olbrzymiej stolicy — żaden pomnik wspaniały nie zdobi miejsca wiecznego jego spoczynku. Prawdziwym jego pomnikiem, jak przewidział Szekspir, jest wiersz poety, jest wiecznotrwały jego dramat. To samo też stało się z wszystkimi innymi, których piękno dało nowy impuls twórcom ich epoce. Gibkie, barwy kości słoniowej, ciało niewolnika Bityniańskiego tkwi w zielonym mule Nilu, a na żółtych pagórkach Ceramcicusu rozsiane są prochy młodego Ateńczyka; ale Antinous żyje w rzeźbie, a Charmides — w filozofji.

III.

Po upływie trzech tygodni postanowiłem zażądać stanowczo od Erskine'a oddania należnego hołdu pamięci Cyryla Grahama, wyjawienia światu jego zdumiewającej interpretacji sonetów — jedynej interpretacji, wyjaśniającej zagadnienie w sposób rozstrzygający. Nie posiadam, niestety, kopji mojego listu i nie miałem też możliwości odzyskania oryginału; pamiętam jednak, że wyłożyłem rzecz grunto-wnie i, że zapisałem całe arkusze papieru uporczy-wym powtarzaniem argumentów i dowodów, któ-rych dostarczały mi moje studia. Miałem wrażenie, że nie tylko przywracam Cyrylowi Grahamowi nale-żne mu miejsce w dziejach literatury, ale że ratuję zarazem honor Szekspira, uwalniając go od zmory popolitej intrygi. Włożyłem w ten list cały mój zapał, całą moją wiarę.

Z tą chwilą wszakże, kiedy go wysłałem, dzi-wna zaszła we mnie reakcja. Doznałem nagle uczu-cia, jakgdybym wyzbył się zdolności do wierzenia w istnienie Willie Hughesa, do wierzenia w Hughe-

sową teorię senetów, jakgdyby coś opuściło mnie czyniąc mi najzupełniej obojętną całą tę sprawę. Co się mogło stać? Trudno dać na to odpowiedź. Może, znalazłszy pełny wyraz dla całej siły mojego zapалу, wyczerpałem w sobie samo jego źródło. Siła uczucia, podobnie jak siły życia fizycznego, ma ustalony swój zakres. Może sam wysiłek, jaki czynimy, aby przekonać innych o słuszności naszej teorii, pociąga za sobą rodzaj utraty naszej zdolności wierzenia. A może byłem poprostu znudzony całą tą kwestją i z chwilą, gdy zgasł, strawiony własnym ogniem, cały mój zapal, rozum, mój odzyskał trzeźwy sąd. Za jakkolwiek stało się to sprawą, czego nie kuszę się nawet wytłumaczyć, nie ulega wątpliwości, że Willie Hughes stał się dla mnie mytem tylko, fantastycznym urojeniem, dziecinnym kaprysem młodzieńca, który, jak większość zapalnych umysłów, bardziej pragnął przekonać innych, nie być przekonany samemu.

Czując, że w liście moim do Erskine'a było kilka niesprawiedliwych i przykrych zarzutów, postanowiłem co rychlej przeprosić go za moją niegrzeczność.

Nazajutrz, z samego rana pojechałem do niego i zastałem go w bibliotece, zatopionego w kontemplacji podstawionego portretu Willie Hughesa.

— Drogi, szanowny panie — zawołałem — przyszedłem pana przeprosić

— Przeprosić mnie? — zapytał zdziwiony. —

Za co?

— Za mój list — odrzekłem.

— Nie było w nim nic takiego, czego mógłbyś pan żałować. Przeciwnie, wyświadczyłeś mi największą przesługę, jaką wyświadczyć mogłeś. Przekonałeś mnie o bezwzględnej słuszności teorii Cyryla Grahama.

— Jakto? Więc wierzy pan w Willie Hughesa? — zawołałem.

— Dlaczegoż nie miałbym wierzyć? Dowiodłeś mi pan jej słuszności. Czy sądzisz, że nie potrafię ocenić należycie wartości oczywistego faktu?

— Ależ niema tu żadnego oczywistego faktu — jęknąłem, padając na krzesło. — Pisząc do pana, byłem pod wpływem niedorzecznego jakiegoś urojenia. Wzruszyła mnie poprostu historia śmierci Cyryla Grahama, porwała mnie romantyczna jego teoria, rozentuzjzmował czar i nowość jego pomysłu. Teraz zaś widzę jasno, że teoria ta oparta była na urojeniu. Jedyнным oczywistym dowodem istnienia Willie Hughesa jest ten portret, w który pan się wpatruje, a przecież portret jest, jak wiemy, oszustwem. Nie daj się pan unieść sentymentowi w tej sprawie. Cokolwiek miałoby uczucie do powiedzenia na korzyść całej tej teorii, rozum pozostaje zupełnie obojętnym dla jej uroszczeń.

— Nie rozumiem pana — rzekł Erskine, patrząc na mnie ze zdumieniem. — Jakto, przecież to pan sam przekonał mnie listem swoim, że Willie Hughes

nie jest urojeniem, lecz najoczywistszą rzeczywistością?! Skąd ta nagła zmiana zdania? A może wszystko, co pan mówił przed chwilą, jest tylko żartem?

— Nie mogę tego panu wytłumaczyć — odparłem — ale widzę teraz jasno, że teoria Cyryla Grahama absolutnie nie wytrzymuje krytyki. Sonety są poświęcone lordowi Pembroke. Na miłosierdzie boskie, nie trać pan czasu na niedorzeczne poszukiwanie młodego aktora z epoki Elżbietańskiej, człowieka, który nigdy nie istniał, na czynienie z urojonej jakiejś marjonetki głównej postaci wielkiego cyklu sonetów Szekspirowskich.

— Widzę, że pan nie zdaje sobie zupełnie sprawy z teorii Cyryla, że pan jej nie rozumie — odparł.

— Co?! nie rozumiem jej?! — zawołałem. — Nie rozumiem jej?! Mógłbym niemal powiedzieć, że to ja ją wymyśliłem. List mój dostatecznie chyba przekonywa pana, że nie tylko przestudjowałem gruntownie całą tę rzecz, ale że wzbogaciłem ją w cały szereg nowych argumentów i dowodów. Jediną szczyrbą w tej teorii jest przyjmowanie za fakt istnienia osobnika, którego egzystencja jest przedmiotem sporu. Gdybyśmy uznali za rzecz dowiedzioną, że w trupie Szekspira był młody aktor imieniem Willie Hughes, nietrudno byłoby zrobić z niego przedmiot sonetów. Ponieważ jednak wiemy, że w trupie tej nie było takiego aktora, próżnym jest trudem dalsze prowadzenie badań w tym kierunku.

— Ależ tego właśnie nie wiemy — rzekł Erskine.

— Ma pan słusność, że niema jego imienia na liście, przytoczonej w pierwszym folio; ale, jak zaznaczył już Cyryl, stanowi to raczej dowód na korzyść istnienia Willie Hughesa, aniżeli przeciw niemu, jeśli weźmiemy pod uwagę zdradzieckie opuszczenie przez niego teatru Szekspira i przejście do trupy współzawodniczącego dramatopisarza.

Spieraliśmy się przez szereg godzin o tę sprawę, ale wszelkie moje dowodzenia nie mogły zachwiać wiary Erskine'a w słusność teorii Cyryla Grahama. Oznajmił mi, że zamierza poświęcić życie swoje stwierdzeniu zasadności tej teorii, że chce tym sposobem oddać należny hołd pamięci Cyryla. Błagałem go, śmiałem się z niego, zaklinałem go, ale wszystko nadaremnie. Wkońcu rozstaliśmy się, nie pokłóceni oczywiście, ale w każdym razie z pewnym odcieniem urazy wzajemnej, która stanęła pomiędzy nami. Erskine ocenił mnie jako człowieka płytkiego, ja jego — jako szaleńca. Odwiedziłem go wkrótce po raz drugi, ale służący oznajmił mi, że pan jego wyjechał do Niemiec.

W dwa lata później, wchodząc pewnego wieczoru do klubu, otrzymałem z rąk odźwiernego list z zagraniczną marką. Był to list od Erskine'a, napisany z hotelu d'Angleterre w Cannes. Czytając go, osłupiałem z przerażenia, nie mogłem jednak uwierzyć, aby oszalał on do tego stopnia i wykonał istotnie dziki swój zamiar. W liście tym oznajmił

mi, że straciwszy już zupełnie nadzieję sprawdzenia teorii Willie Hughesa, której poświęcił cały swój czas i pracę, niestety, bezskutecznie, postanowił pójść za przykładem Cyryla. Gdy Cyryl oddał życie za swoją teorię, i on również poświęci swoje za tę samą sprawę. List kończył się następującymi słowami: „Wierzę wciąż jeszcze w Willie Hughesa oraz w sprawę Cyryla Grahama, którego płytki mój sceptycyzm i brak wiary pchnęły w objęcia śmierci. Wyjawilem panu całą prawdę, ale pan odrzuciłeś ją. Wraca ona teraz do pana, zbryzgana krwią dwóch ofiar, — nie odwracaj się pan od niej“.

Przeżyłem moment straszliwy. Byłem, jak oszalały z bólu, a jednak nie mogłem uwierzyć w ten fakt przeraźliwy. Umrzeć za wierzenia teologiczne jest najgorszym użytkiem, jaki człowiek może zrobić ze swojego życia, ale umrzeć ze teorię literacką!... Nie, to chyba niemożliwe!...

Spojrzałem na datę listu. Pisany był przed tygodniem. Nieszczęśliwym jakimś trafem nie mogłem być w klubie od kilku dni; gdyby nie ta fatalna przeszkoda, byłbym może otrzymał list w porę, aby go uratować. A może nie było jeszcze za późno... Wróciłem natychmiast do siebie, zapakowałem rzeczy i wyjechałem najbliższym pociągiem. Podróż była okropna. Myślałem, że nigdy nie dojadę. Niezwłocznie po przybyciu udałem się do hotelu d'Angleterre.

Powiedziano mi tam, że Erskine pochowany został przed dwoma dniami na miejscowym cment-

tarzu angielskim. Było coś potwornie groteskowego w całej tej okrutnej tragedji. Zacząłem gadać jakieś rzeczy bez związku, tak, że służba hotelowa patrzyła na mnie ze zdumieniem.

Wtem postać jakaś niewieścia w ciężkiej żałobie minęła westybul. Była to lady Erskine. Spostrzegłszy mnie, zbliżyła się, wyjąkała coś o biednym swoim synu i wybuchła spazmatycznym płaczem. Zaprowadziłem ją do jej pokoju. Cekał tam już jakiś starszy jegomość. Był to doktor, anglik.

Mówiliśmy dużo o Erskinie, nie wspomniałem jednak nic o motywie popełnionego samobójstwa. Widocznem było, że nic nie mówił matce o sprawie, która popchnęła go do fatalnego tego kroku. Wreszcie lady Erskine podniosła się z fotelu i rzekła:

— Jerzy zostawił panu coś na pamiątkę. Była to rzecz, którą cenił nadewszystko. Przyniosę ją panu.

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, zwróciłem się do doktora i rzekłem:

— Jakiż to straszny musiał być cios dla lady Erskine! Podziwiam, że znosi go tak mężnie.

— O, wiedziała o tem od wielu już miesięcy — odparł.

— Wiedziała od wielu miesięcy?! — zawołałem. — Dlaczegoż więc nie powstrzymała go? Dlaczego nie kazała go pilnować? Oszałała chyba...

Doktor spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powleźć — rzekł wreszcie.

— Jaktol — zawołałem. — Matka, która wie, że syn zamierza popełnić samobójstwo i nie...

— Samobójstwo! — przerwał mi. — Biedny Erskine nie popełnił samobójstwa. Umarł na suchoty. Przesłano go, aby tutaj umarł. Zobaczywszy go po raz pierwszy, wiedziałem, że niema nadziei. Jednego płuca nie miał już wcale, a drugie silnie było zajęte. Na trzy dni przed śmiercią zapytał mnie, czy jest jeszcze jakaś nadzieja. Odpowiedziałem mu otwarcie, że niema żadnej i że pozostaje mu kilka tylko jeszcze dni do życia. Napisał parę listów i był zupełnie zrezygnowany, zachowując przytomność do ostatka.

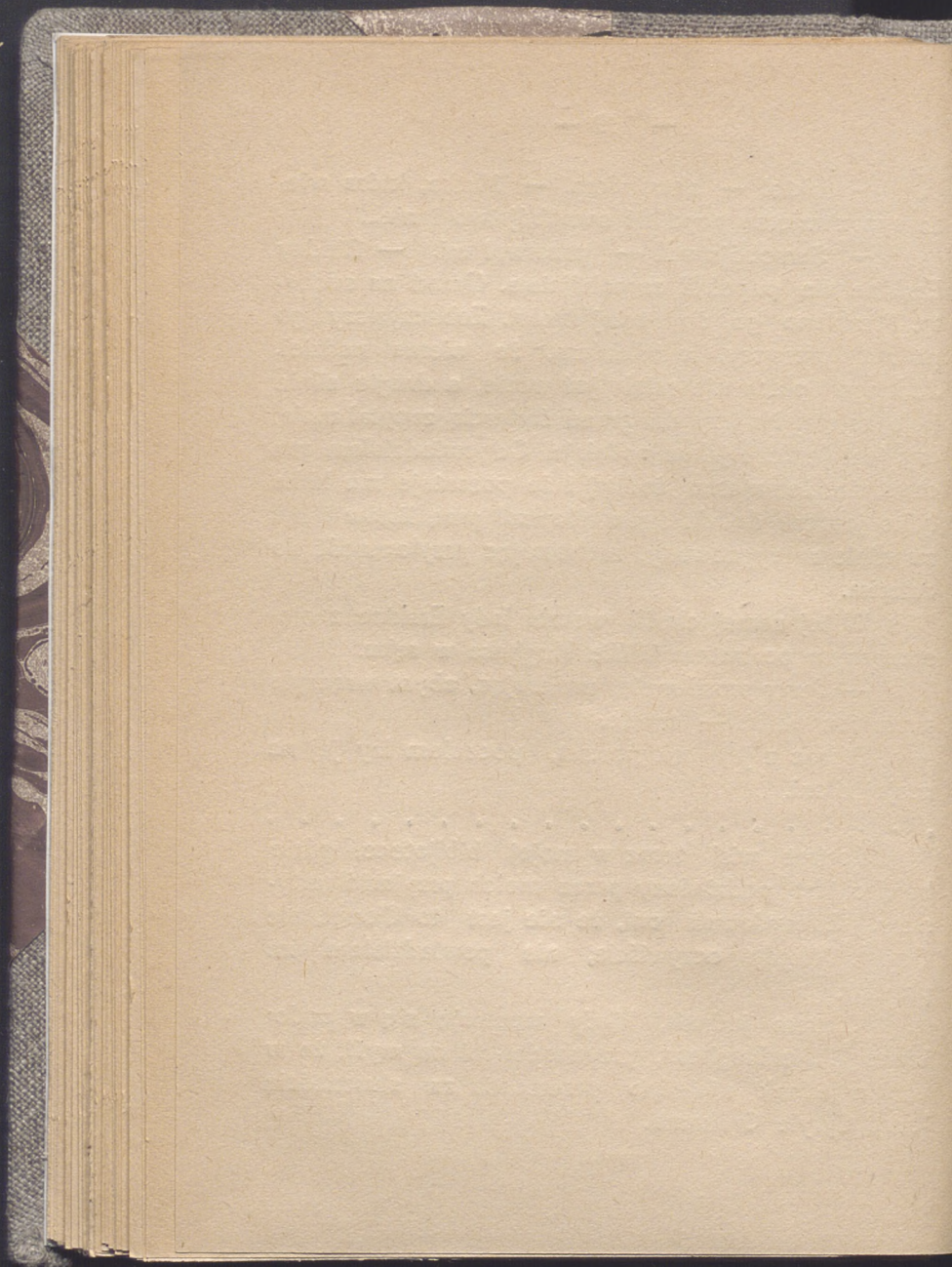
W tej samej chwili weszła lady Erskine z nieszczęsnym portretem Willie Hughesa w rękę.

— Jerzy prosił mnie, umierając, abym wręczyła panu ten obraz — rzekła.

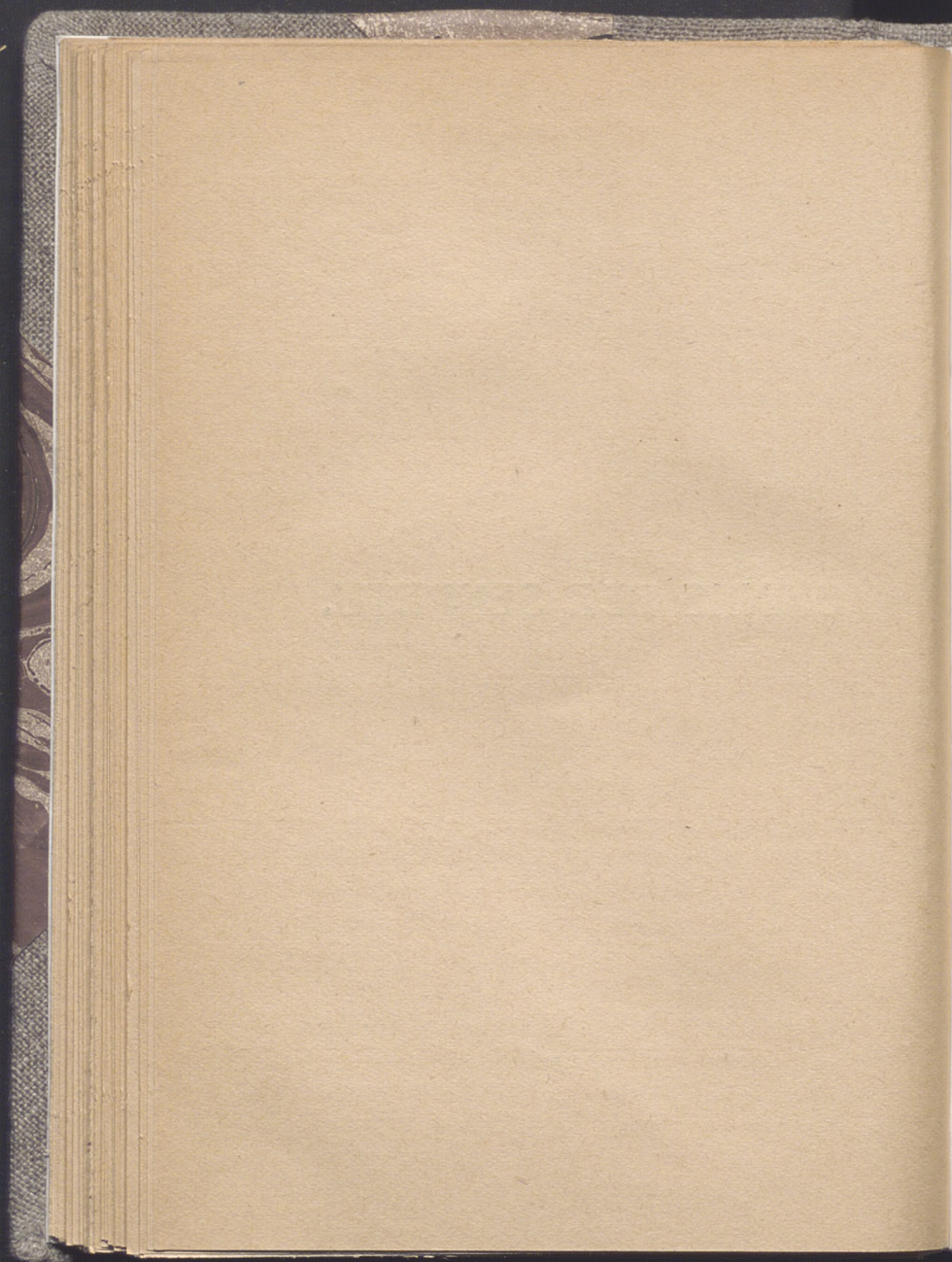
Biorąc z jej rąk portret, poczułem lzy jej na mojej dłoni.

.
Portret wisi teraz w mojej bibliotece, gdzie bardzo jest podziwiany przez moich przyjaciół artystów. Zdecydowali oni, że nie jest to Clouet, ale Onory. Nigdy oczywiście, nie powiedziałem im prawdy.

Czasem jednak, kiedy wpatruję się w podobiznę Willie Hughesa, przychodzi mi na myśl, że w istocie jednak niejedno przemawia za słusnością teorii Cyryla Grahama.



SFINKS BEZ SEKRETU.



Pewnego popołudnia siedziałem nazewnątrz *Café de la Paix*, przyglądając się przepychowi i nędzy paryskiego życia i podziwiając, przy lampce vermouthu, niezwykłą panoramę dumy i ubóstwa, przesuwaną się przed moimi oczami, kiedy nagle usłyszałem za sobą czyjs głos, wołający mnie po imieniu. Odwróciłem się i ujrzałem lorda Murchisona. Nie widzieliśmy się od czasu wspólnego naszego pobytu w kolegjum, mniej więcej dziesięć lat temu, zachwycony też byłem ponownem zetknięciem się z nim i serdeczny zamieniłem z nim uścisk dłoni. W Oxfordzie łączyła nas zażyła przyjaźń. Niezmiernie go lubiłem — taki był piękny, uduchowiony i taki kryształowo prawy. Mawialiśmy o nim zazwyczaj, że byłby z niego najlepszy chłop, gdyby nie mówił zawsze prawdy, w rzeczywistości wszakże podziwialiśmy go właśnie za tę jego szczerłość. Znalazłem go wielce zmienionym. Miał wyraz twarzy niespokojny i jakgdyby czemś zdumiony; zdawał się istotnie walczyć coś w swojej myśli. Czułem, że nie mógł to być nowoczesny sceptycyzm, bowiem Murchison był najzagorzalszym torysem i wierzył w Pięcioksiąg rów-

nie niezachwianie jak w Izbę Lordów. Wywnioskowałem więc, że musiało tu iść o kobietę i zapytałem, czy jest już żonaty.

— Nie znam się dostatecznie na kobietach — odparł.

— Kobiety, mój drogi Geraldzie, nie są poto aby je rozumiano, lecz żeby je kochano — rzekłem.

— Nie mogę kochać osoby, której nie mogę ufać — odpowiedział.

— Mam wrażenie, że w życiu twojem kryje się jakaś tajemnica! — zawołałem — wyjaw mi ją.

— Udajmy się na przejażdżkę — zaproponowałem — zbyt jest tłoczno tutaj. Nie, nie siadajmy do tej żółtej karetki, możesz wybrać każdy inny kolor — o tam, ta ciemno-zielona będzie dobra. Po kilku minutach klusowaliśmy już wzdłuż bulwaru w kierunku Madleny.

— Dokąd jedziemy? — zapytałem.

— O dokąd chcesz! — chociażby do restauracji w Łasku Bulońskim; zjemy tam obiad i opowiesz mi wszystko o sobie.

— Nie, chcę nasamprzód usłyszeć coś o tobie — zaprotestowałem — wyjaw mi twoją tajemnicę.

Wyjął z kieszeni mały, oprawny w srebro, portfel skórzany i wręczył mi go. Otworzyłem i zobaczyłem wewnątrz fotografię kobiety. Była wysoka i smukła i wyglądała dziwnie malowniczo dzięki wielkim, zadumanyim oczom i spływającym luźno

kaskadom włosów. Przypominała wróżkę. Otulona była w bogate futro.

— Co myślisz o tej twarzy? — zapytał. — Czy wzbudza zaufanie?

Przyjrzałem jej się uważnie. Wydawała się twarzą osoby, kryjącej w sercu jakąś tajemnicę. Czy była to jednak tajemnica zła czy dobra? — trudno było określić. Piękno jej miało charakter dziwnie tajemniczy: piękno, raczej psychologiczne, aniżeli plastyczne, a słaby uśmiech, kryjący się dokoła jej ust, zbyt był nieuchwytny, aby mógł nadawać jej wyraz słodczy.

— I cóż? — zapytał niecierpliwie — co mówisz?

— Nazwałbym ją Giocondą w futrze — odrzekłem. — Opowiedz mi wszystko, co wiesz o niej.

— Nie teraz — rzekł — po obiedzie; — i zaczął mówić o innych rzeczach.

Kiedy garson przyniósł nam kawę i papierosy, przypomniałem Geraldowi jego obietnicę. Podniósł się z krzesła, przemierzył kilka razy pokój i, rzuciwszy się na fotel, opowiedział mi następującą historję:

— Pewnego wieczoru — rzekł — szedłem po Bond Street około piątej po południu. Olbrzymie było tam o tej porze nagromadzenie wszelkiego rodzaju wehikułów, zatarasowujących nieomal zupełnie cały ruch. Tuż przy chodniku stała mała żółta karetką, która, nie wiem z jakiego powodu, zwróciła na siebie moją uwagę. W chwili, kiedy mijalem ją,

wyrzała z jej wnętrza twarz, którą pokazałem ci dzisiaj po południu. Przykuła mnie do siebie na pierwszy rzut oka.

Całą tę noc i cały dzień następny nie przestałem myśleć o niej. Chodziłem tam i nazad po nieznośnej Row, zagładając wgłąb każdego powozu i czekając na żółtą karetkę, nie mogłem jednak znaleźć mojej belle inconnue, tak, że wkońcu zacząłem przypuszczać, iż była ona tylko pięknym snem.

W tydzień później zaproszony byłem na obiad do pani de Rastail. Obiad miał być o ósmej, ale o wpół do dziewiątej czekaliśmy wciąż jeszcze w salonie. Wreszcie rozwarł służący szeroko drzwi i zanonsował lady Alidy. Była nią kobieta, której tak tęsknie szukałem. Weszła bardzo wolnym krokiem, niby promień księżyca, w srebrzystych swoich koronkach i ku nieopisanemu zachwytowi mojemu kazano mi zaprowadzić ją do stołu. W chwili, kiedy siadaliśmy, zrobiłem zupełnie niewinną uwagę: — Zdaje mi się, że widziałem panią niedawno w przejściu na Bond-Street.

Zbladła jak płótno i odparła szeptem: — Proszę niech pan nie mówi tak głośno, gotów nas ktoś podsłuchać.

Skonfundowany takim złym początkiem, beznamysłu przeszedłem odrazu na temat francuskich komedji. Mówiła bardzo mało, wciąż tym samym cichym, melodyjnym głosem, jakgdyby w dalszym ciągu obawiając się podsłuchiwania. Zakochałem się

z miejsca, jak żak, a dziwna, nieuchwytna atmosfera tajemniczości, jaka ją otaczała, podniecała rozmaianietnioną moją ciekawość.

Kiedy odchodziła, a uczyniła to wkrótce po skończonym obiedzie, zapytałem, czy pozwoli mi złożyć sobie wizytę. Zawahała się na moment, niespokojnie rozejrzała się dokoła, czy niema nikogo w pobliżu, a potem rzekła: — Dobrze, jutro o 3 kwadransie na piętą.

Po jej odejściu prosiłem panią de Rastail, aby opowiedziała mi coś bliższego o niej, jedynem jednak, czego mogłem się dowiedzieć, było, że jest wdową i właścicielką pięknego domu w Park-Lune. Że zaś w tej samej chwili jakiś uczony nudziarz wszczął rozprawę o wdowach, aby dowieść na przykładach, że osobniki pozostałe przy życiu najbardziej nadają się do stanu małżeńskiego, pożegnałem panią de Rastail i poszedłem do domu.

Nazajutrz stawiłem się w domu na Park Lune punktualnie co do minuty, kamerdyner oznajmił mi jednak, że lady Alidy wyszła. Powlokłem się do mojego klubu bardzo nieszczęśliwy, a zarazem zdziwiony i, po długim namyśle, napisałem do niej list, zapytując, czy wolno mi będzie próbować szczęścia innego popołudnia. Nie miałem odpowiedzi w ciągu kilku dni, wreszcie otrzymałem krótki bilecik, oznajmiający, że będzie w domu w niedzielę o czwartej. Do bileciku dołączone było dziwne postscriptum: — „Proszę, niech pan nie pisze do mnie więcej pod tym adresem. Wytlumaczę to panu przy widzeniu“.

W niedzielę przyjęła mnie i była czarująca nad wszelki wyraz. Kiedy jednak odchodziłem, poprosiła mnie, abym w razie chęci pisania do niej jeszcze kiedykolwiek, adresował moje listy do „pana Knoxa, pod adresem księgarni Whitakera, Green Street” — Są powody — dodała — dla których nie mogę odbierać listów w moim własnym domu.

W ciągu całego sezonu londyńskiego widywałem ją często, nigdy jednak nie opuszczała jej atmosfera tajemniczości.

Przychodziło mi czasem na myśl, że pozostaje ona pod władzą jakiegoś mężczyzny, czyniła jednak wrażenie tak nieprzystępnej, że nie mogłem nigdy uwierzyć w to na serjo. Było mi w istocie trudno dojść do jakiegoś wniosku, przypominała bowiem jeden z dziwnych owych kryształów, oglądanych w muzeach, chwilami zupełnie przejrzystych, a czasem zmętniałych. Wreszcie zdecydowałem się oświadczyć o jej rękę; zmęczyła mnie i zdenerwowała ciągła tajemniczość, jaką narzucała mi podczas wszystkich moich odwiedzin i jaką zmuszony byłem otaczać z jej woli kilka pisanych do niej listów. Napisałem do niej pod wskazanym adresem księgarni pytając, czy zechce przyjąć mnie w najbliższy poniedziałek o 6-ej. Otrzymana przychylna odpowiedź wprowadziła mnie w stan niebiańskiego zachwyty. Byłem namiętnie rozkochany w niej, bez względu na otaczającą ją tajemniczość, jak mi się wówczas wydawało, a właściwie, jak widzę teraz, z powodu tej tajemniczości. Nie; kochałem w niej kobietę.

Tajemnica niepokoiła mnie i drażniła do szalu.
Dlaczego traf naprowadził mnie na jej drogę?

— Odsłoniłeś ją zatem... — zawołałem.

— Obawiam się, że tak. Zresztą osądzisz sam.

W ów wyznaczony poniedziałek byłem na lunchu u mojego wuja, a około czwartej znalazłem się na Marylebone Road. Wuj mój, jak ci wiadomo, mieszka tuż przy Regent's Park. Chciałem dostać się na Piccadilly, przeciąłem więc w tym celu kilka małych nędznych bocznych uliczek. Nagle ujrzałem przed sobą lady Alidy, gęsto zawoalowaną i idącą nader szybko. Dotarłszy do ostatniego domu przy ulicy, na której znajdowała się, weszła po schodkach, wyjęła klucz od zatrzasku i weszła do środka. Oto, gdzie kryje się tajemnica — pomyślałem. — Pospieszyłem za nią i obejrzałem z uwagą dom. Wyglądał na miejsce garsonjer do wynajęcia. Na progu leżała chusteczka, którą musiała upuścić. Podniosłem ją i schowałem do kieszeni, zacząwszy rozmyślać, jak mam postąpić. Wreszcie, doszedłszy do wniosku, że nie miałem prawa szpiegowania jej, pojechałem do klubu. O szóstej punktualnie stawilem się w jej mieszkaniu. Zastąpiłem ją leżącą na kanapie w domowej sukni z srebrnej lamy, spiętej dziwnymi kamieniami księżycowymi, które stale nożyła. Wyglądała prześlicznie. Rada jestem, że pana Alidę — rzekła — nie wychodziłam przez cały dzień.

Spojrzałem na nią zdumiony i, wyciągnąwszy chusteczkę z kieszeni, wręczyłem jej: — Upuściła ją pani na Cumnor-Street dzisiaj po południu, lady Alidy — rzekłem spokojnie. Utkwiła we mnie przeżony wzrok, nie zrobiła jednak żadnego ruchu, aby odebrać chusteczkę.

— Co pani tam robiła? — zapytałem.

— Jakie ma pan prawo badać mnie? — odparła.

— Prawo człowieka, który panią kocha. Przyszedłem tutaj, aby poprosić panią o jej rękę.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

— Musi pani wyjawić mi wszystko — rzekłem.

Wstała i, patrząc mi prosto w twarz, oświadczyła:

— Nie mam panu nic do wyjawienia, lordzie Murchison.

— Miała pani z kimś schadzki — zawołałem — na tem polega tajemnica pani.

— Nie miałam żadnej schadzki. Z nikim.

— Dlaczego nie chce pani powiedzieć prawdy? — zawołałem.

— Powiedziałam prawdę — odparła.

Upór jej doprowadził mnie do szału. Nie pamiętam, co mówiłem, ale wiem, że musiałem mówić straszne rzeczy. Wreszcie wybiegłem, jak warjata, z domu. Napisała do mnie nazajutrz, ale odesłałem jej list nieodpieczętowany i z miejsca ruszyłem do Norwegji z Alanem Colvillem. Po miesiącu powró-

lem i pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy było zawiadomienie w „*Morning Post*” o śmierci lady Alidy. Zaziębiła się w Operze i umarła po pięciu dniach na zapalenie płuc. Zamknąłem się w domu, nie chcąc widzieć nikogo. Kochałem ją tak gorąco, kochałem ją do szalu. Boże Wielki! Jak ja kochałem tę kobietę!

— Poszedłeś jeszcze raz na ową ulicę, do tego domu? — zapytałem.

— Tak. Pewnego dnia poszedłem na Cumnor-Street. Nie mogłem się powstrzymać od tego; dręczyła mnie niepewność. Zapukałem do drzwi i wnet otworzyła mi je dostojnie wyglądająca matrona. Zapytałem, czy ma pokoje do wynajęcia. Tak proszę pana — odparła — myślę, że będę mogła wynająć salonik. Nie widziałam już tej pani od trzech miesięcy, a że komorne nie jest zapłacone, może pan je mieć. Czy to ta pani? — zapytałem, pokazując jej fotografię lady Alidy.

— Tak, to ona! — zawołała — a kiedy powróci tutaj?

— Ta pani umarła — odpowiedziałem.

— O, co też pan mówi? To była najlepsza moja lokatorka. Płaciła mi trzy gwineje tygodniowo po to tylko, żeby móc od czasu do czasu przychodzić i siedzieć w saloniku.

— Czy spotykała się tutaj z kim? — zapytałem, ale właścicielka mieszkania zapewniła mnie, że nie spotykała się z nikim, że zawsze przychodziła sama i nie przyjmowała nikogo.

— Więc cóż u licha robiła tutaj? — zawołałem.

— Siedziała zwyczajnie w salonie, czytając książki, a czasem piła herbatę — odpowiedziała kobieta.

Nie wiedziałem, co mam jeszcze powiedzieć, dałem więc jej suwerena i odszedłem. No, a teraz, co powiesz na to wszystko? Jak myślisz, czy kobieta mówiła prawdę?

— Myśle, że tak.

— Więc poco lady Alidy chodziła tam?

— Mój drogi Geraldzie — odparłem — lady Alidy miała wprost manję otaczania się tajemnicą. Wynajęła salonik ten wprost dla przyjemności chodzenia tam gęsto zawoalowaną, wyobrażając sobie, że jest bohaterką romansu. Miała pasję do tajemniczości, ale sama była sfinksem bez sekretu.

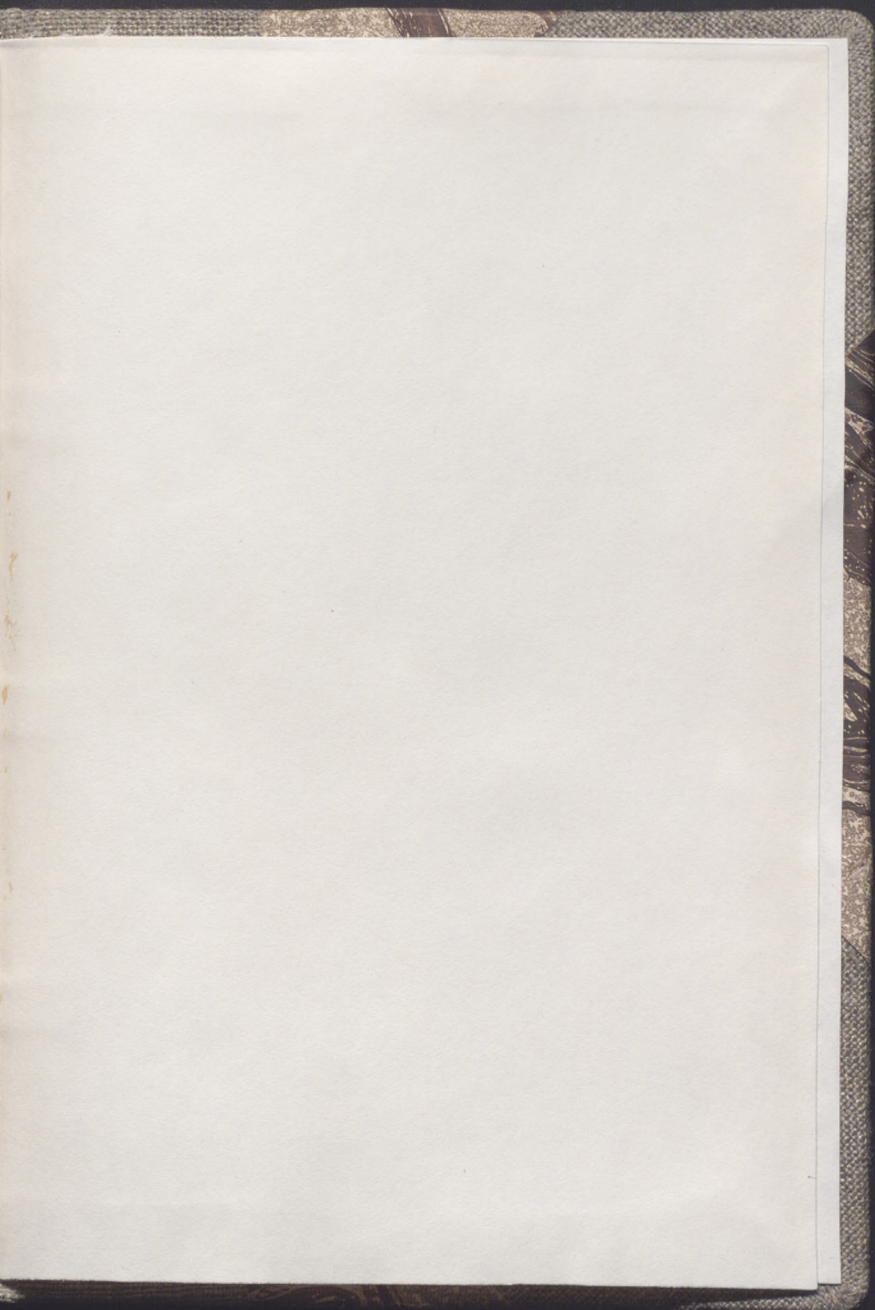
— Naprawdę tak myślisz?

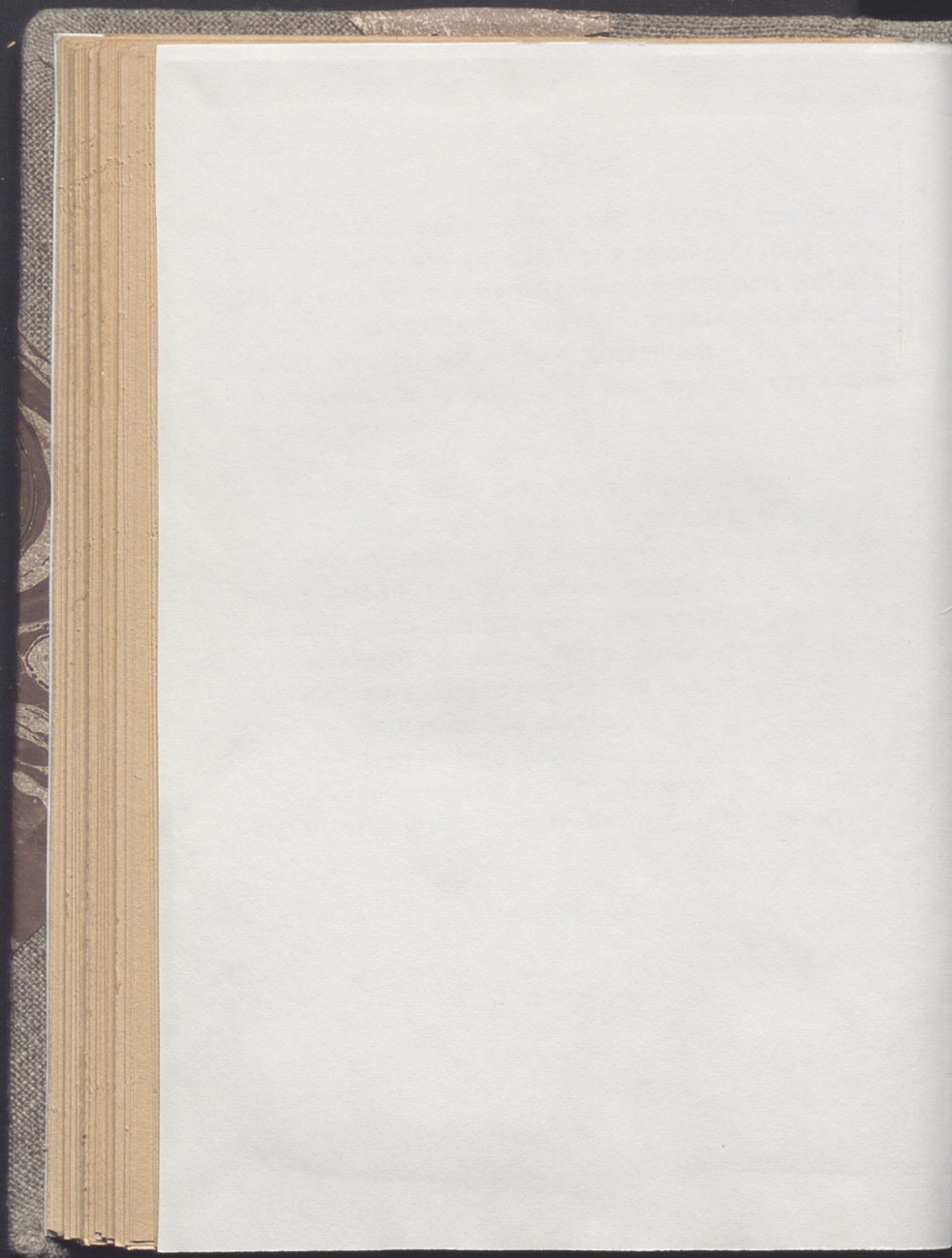
— Jestem tego pewien.

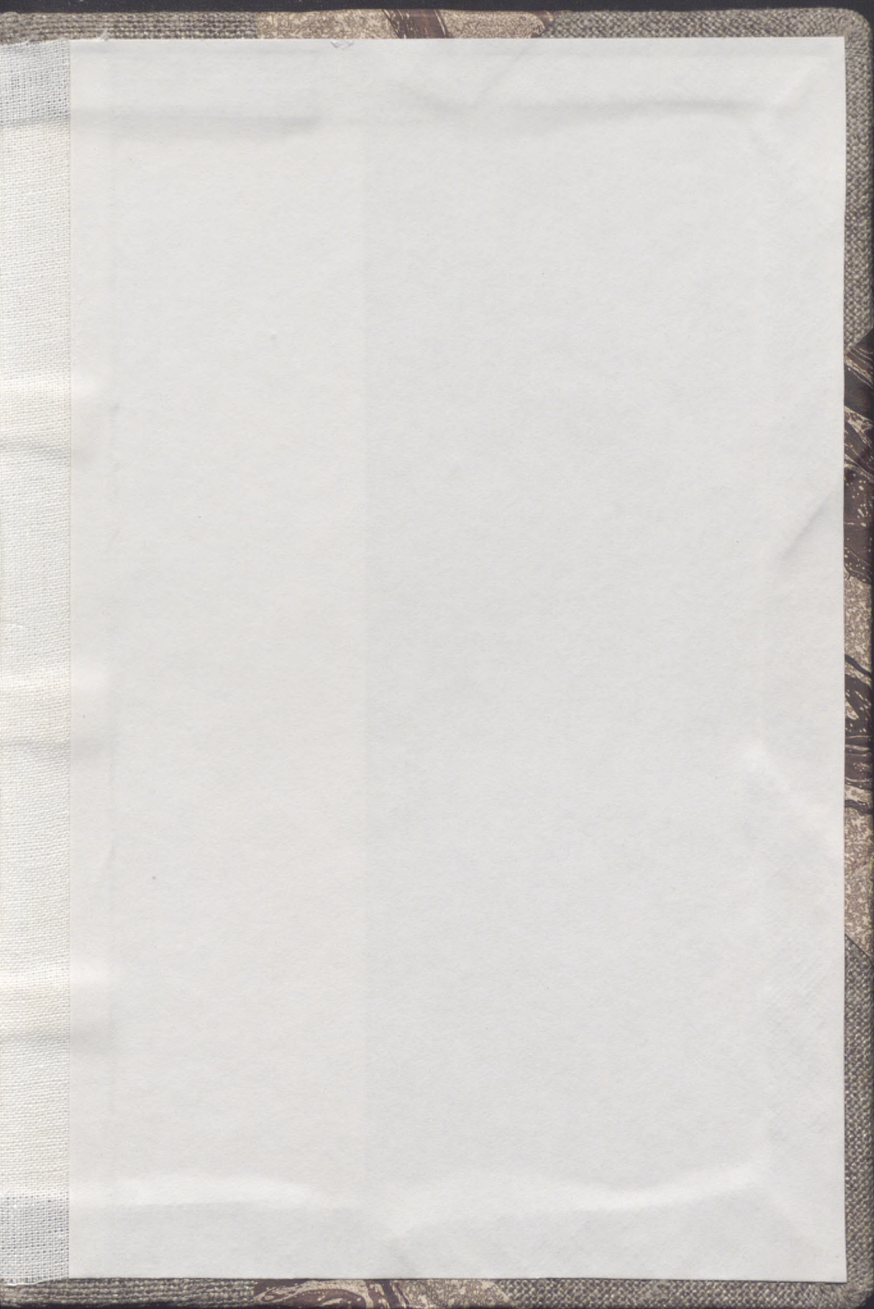
Wyjął skórzany portfel, otworzył go i wpatrzył się w fotografię. — Któż wie? — rzekł wreszcie.

KONIEC











BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

541789